



# ZDRÓJ

## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.  
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17. :: :: :: ::  
Przedstawicielstwo redakcji na AUSTRO-WĘGRY: JAKÓB GESZWIND, WIEN, (Hauptstr. 147).

**Prenumerata roczna** (na pocztę) — 40 marek, **półroczna** — 25 marek, **kwartalna** — 14 marek.  
Zeszyt pojedynczy 3 marki. — Przesyłka pod opaską 15 fen. za zeszyt.

**Prenumerata na Austro-Węgry** roczna 64 korony — półroczna 32 korony — kwartalna 17 koron.  
OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-jej do 7-jej.

**OD REDAKCYI:** Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — Odpowiedzi na listy za nadesłaniem marki pocztowej. — Rękopisy bez nazwiska autora i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — —  
Redakcja nie wdaje się w dyskusję, na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.

## „OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wilhelm. 17  
Telefon 5100

Opuściło prasę najnowsze wydawnictwo nasze p. t.

### W przededniu nowych zadań

zbiór studiów o polskich zagadnieniach g. spodarczych.

Zawiera prace następujące:

- T. Adamczewski — Przyszły Bank biętowy w Polsce
- Dr. St. Pernaczeński — O emi i not ziemskich
- Dr. Z. Karpiński — Rola złota polityce walutowej przyszłego anku Polskiego
- Dr. E. Rose — Król. Polskie a Galicja — Drogi zbliżenia gospodarczego
- Stefan Haupa — Polityka komunalna w Królestwie Polskiem
- Konstanty Zachert — Zagadnienia polityki drzewnej w Król. Polskiem
- Dr. St. Wachowiak — Wychodźstwo westfalsko-nadrenskie a reemigracja
- Paweł Spandowski — Pod adresem przyszłego prawa polskiego o towarzystwach akcyjnych
- Dr. Marjan Głowacki — Przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe na ziemiach polskich i znaczenie ich dla gospodarswa narodowego
- Stanisław Marchniak — Wpływ wojny na finansowe położenie rolnictwa w Wielkiem Ks. Poznańskiem.

Cena mk. 10.—



zalatwia z członkami wszelkie interesa bankierskie.  
**Pożyczki** na przystępnych i dogodnych warunkach.  
**Papiery wartościowe** jako pewna i korzystna lokacja kapitałów.  
**Rachunki czekowe** z wielkiem dogodnościami dla wpłat i wypłat.  
**Udziały członków** przynoszą 8 procent dywidendy.  
**Wkładki i oszczędności** oprocentowuje od dnia złożenia pieniędzy po 3, 4 i 4 1/2 procent.

ADRES:

**BANK LUDOWY, Inowrocław (Hohensalza).**

# ZDRÓJ

ROK 2 LIPIEC 1918

TOM IV ZESZYT 3

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE  
I KULTURZE UMYŚLOWEJ

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: ZDRÓJ — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Ekspresjonizm, Słowacki i „Genezis z Ducha” — Stanisław Przybyszewski. U poetów — Miriam. Opowieść rybalta (powieść — C. D.) — Waclaw Berent (przyczył Jerzy Hulewicz). Na marginesie Don Kiszota — Michał Sobieski. Nocne ognie. Msza — Olwid (inicjał Jana Wroneckiego). Włóczęga arnheimka — Edgar Allan Poe (przeł. St. Wyrzykowski). Wypiański-Swiatowid — Ewa Luskina. Szewczenko a Polacy — Franciszek Rawita-Gawroński. Miscellanea.

RYCINY: Drzeworyt oryginalny — Małgorzata Kubicka. Św. Jan (rysunek) — Z. Pronaszko. Madonna (drzeworyt oryg.) — J. Hulewicz. Drzeworyt oryg. — J. Wronecki. Rysunek — Władysław Skotarek. Drzeworyt oryg. — J. Hulewicz.



Drzeworyt oryginalny — Małgorzata Kubicka.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

## EKSPRESJONIZM — SŁOWACKI

## I „GENEZIS Z DUCHA“

## III. NAJWYŻSZA ISTOTA: BÓG W POJĘCIU SŁOWACKIEGO. BÓG BEZPRZYMIOTNY I BÓG OSOBOWY.

„Błądny i zamyślony“ o Bogu widział Słowacki w ekstazy upojeniu, jak mu się rzecz każda „z jednej idei o twórczości ducha rozwija“ — ale nad radością jego zawisła ciężka chmura, w którą spowity jest ten Bóg, którego według św. Jana nikt nie widział — o istocie tego Boga Słowacki w „Genezis“ nic nie mówi — dowiadujemy się dopiero w „Liście do Rembowskiego“ że Słowacki przyjmował ponad tego Boga, którego pojmował osobiste, jeszcze wyższe Bóstwo, w którym spoczywa tajemnica Trójcy Świętej:

„O najstrasznieszczą ze wszystkich tajemnic pytałem się w duchu moim Boga i Pana mojego, a czy moje utkwione były w ciemność... w kącie izby mojej... gdzie w odbłyśku słońca jesiennego świecił się krąg pajęczyny, podobny marze i cieniowi wielkiego miesiąca... Środek koła, opuszczony przez pająka i pusty, był mi punktem i celem niby widzenia... W tym środku, na zbiegu srebrnych promieni, wyobrażałem oczyma niewidzialny środek ducha jakiego!) w spoczynku i w nieobjawieniu, a ten duch zdawał mi się trójcą napisaną tak:

Duch  
Miłość Wola

A trójca w miłości przez wolę ruszywszy się w łonie Boga, jęła się przemieniać z szybkością błyskawicy w trójce rodzone jedna z drugiej jak następuje:

1.  
Duch w Woli  
Wola miłość — Wola siła (Ruch)
2.  
Duch w Ruchu  
Ruch miłość — Ruch siła (Magnetyzm)
3.  
Duch w Magnetyzmie  
Magnetyzm siła — Magnetyzm elektryczność
4.  
Duch w elektryczności  
Elekt. magnetyzm — Elektr. ciepłik

4) To „jakiego“ oznacza bezwątpienia „każdegokolwiek“ — zwykła nieścisłość wyrażenia w najwięcej natężonym twórczym myśleniu.

5.

Duch w Ciepłiku  
Ciepłik elekt. — Ciepłik światło.

I ujrzałem światło w duchu niby błyskawicę słoneczną, wychodzącą z owego pustego celu, w którym utopiłem był przed chwilą zamyślane oczy“...

W „pierwszej rozmowie z Helionem“ (wciąż idę śladem badań Pawlikowskiego) znajduje się ustęp, który dokładnie wyświeśla znaczenie onego „środku koła, opuszczonego przez pająka“:

„Oto w ciemnościach groty widzisz tę pajęczynę, którą jesienny pająk opuścił... Jako miesiąc srebrny Dyanny trwa na powietrzu... a środek zajmowany niegdyś przez pająka, choć pusty — oczom się jednak przedstawia wyraźnie. W tym środku osadź na chwilę oczy i myśl natężoną... a widzącą“...

„Uczyniłem to“.

„Obacz teraz myślą twoją pierwsze „nic duchowe, osadzone w środku srebrnego kręga... niewidzialne, a jednak już stworzone... albowiem z tego nic — światy wyblýsną“...

Zdawałoby się więc zatem, że Słowacki jest zwolennikiem tak zwanej apofatycznej (negatywnej) teologii — w przeciwstawieniu do katefatycznej (pozytywnej) przyjmującej osobowość Boga, tem więcej, że zastanawiając się nad słowem Ewangelii św. Jana: „Boga nikt nie widział“, odnosi ukazywanie się Boga w starym Testamencie — Chrystusowi. On to był w raju przytomnym, on ukazał się Mojżeszowi w krzaku ognistym i na górze Tabor, on na ognistym wozie unosił Izraela Proroki — i wierzył do tego stopnia w tę swoją rewelację, że mówi o niej w liście do Rembowskiego, że ona „Stary Testament i wszystkie ducha tajemnice rozjaśni“. A więc nie do Boga udawał się, gdy go pytał „o najstrasznieszczą ze wszystkich tajemnic“, ale do Boga — Chrystusa.

Nawskroś konkretna fantazja Słowackiego nie pozwoliła mu wynieść się do pojęcia bóstwa, jakie według pism Areopagity, w które Słowacki bezwątpienia się wczytywał, łatwiej się osiąga przez negację, aniżeli przez afirmację. Większą prawdą jest temu zaprzeczać, aniżeli twierdzić, że Bóg jest światłem, prawdą, najwyższym Rozumem, bo jest nieskończenie wyższy ponad te wszystkie określenia, nieskończenie oddalony od wszelkich możliwości określenia słowem tych potęg, które go wyrazić-by mogły, gdyby wyraz wogóle był do tego zdolny, by mózgi niewyraźne i nieobjęte wyrazić. Bóg jest zatem niewypowiedzialny, nieogarnięty, Jednią po za wszelką Jednością, absolutem ponad wszystkim, co dla pojęcia ludzkiego absolutem być się wydaje. W świecie zmysłów każda rzecz przyzwala na stopniowanie: mniejsze lub wyższe, Bóg atoli jest

absolutem najwyższego i najmniejszego, w nim, w którym wszystkie sprzeczności się zlewają (coincidentia oppositorum, według Mikołaja z Kusy) stapia się absolutne m a x i m u m, z absolutnem m i n i m u m.

Do tego pojęcia Boga, bezprzymiotnego i bezosobowego, zmierzał widocznie Słowacki w swoim wykładzie nauki, ale nie odważył się pomyśleć tego „negatywnego“, apofatycznego pojęcia o Bóstwie do końca nie dotarł, do ciemnego i pustego ośrodka — do *ὁ οὐκ ὄν θεός* — Boga, który nie jest Bogiem, a właściwie świętem „Bez-bożem“ Basilidesa, — w Genezis zastanawia się już w „eksplikacji“ Bóstwa, nad Bogiem osobowym.

W pustym środku pajęczyny osadził Boga — już hypostazę onej bezistotnej istoty, która według Areopagity jest ani jednym, ani też czemś, co Jednią nie jest, bo jest ponad wszelką możliwością ograniczeń, nie jest tem, co jest, ani tem, co nie jest, bo wybiega w nieskończoność ponad wszelką granicę, mogącą oznaczać Byt lub Nie-byt, nie jest ani zaprzeczeniem ani też afirmacją, bo jest ponad wszystkim, co rozum w najwięcej oderwanych pojęciach ogarnąć może.

W pustym środku pajęczyny osadził Boga, którego się o „najstraszniejszą z tajemnic“ zapytuje, do którego się modli, któremu się „miłość dobrowolną“ oddaje, przed którym duch „widzialnym“ się stawia, który karze „walką sił wewnętrznych“ i nagradza dobrowolne ofiarowanie się duchów na śmierć „darem, który dziś nazywamy organizmem“, który „proszącego ducha bierze w swoje ręce, i jego dziecinnych żądań wysłuchuje“, który „jest dobrośliwy, że pod dalekimi warstwami popiołów, pod warstwą na węgiel spalonych lasów przechowuje pierwszą próbę Ducha, zdobywającego ziemię“...

Obojętnem to zresztą, czy Słowacki nie był w stanie sobie wyobrazić oderwanego od wszystkich negacji i afirmacji — Bez-boża — Bóstwa, czy też się lękał stanąć w przeciwieństwie z dogmatem wiary katolickiej, czy też rozmyślnie (to wydaje mi się być bardzo ważnym) starał się stworzyć nowy myt — który dziś — dziś właśnie — twórcy, objęci nazwą ekspresjonistów stworzyć pragną, dość, że pojęcie Boga Słowackiego, aczkolwiek osobowe, jest nawskroś mistyczne i daleko odbiegające od pojęcia osobowego, Boga urzędowego kościoła, który z natury rzeczy, by móżdżek opanować jak najszerze warstwy mas, musiał się posługiwać najwięcej zrozumiałymi a więc prostymi antropomorficznymi pojęciami.

Bo w rzeczy samej stoi Słowacki całkiem na gruncie negatywnej teologii — Bóg jego jest hypostazą onej „Jedności pierworodzonej“ Pytagorej-

czyków (*τὸ πρῶτόγονον ἐν*) z której dopiero wyłonił się Bóg — jako „Jedność“ (*τὸ ἐν*), Bóg jego jest tym drugim Bogiem Basilidesa, twórcy gnozy chrześcijańskiej, „wielkim władcą“, emanacją onego nienazwanego Boga, bo każde nienazwanie jest już nazwaniem, Bóg Słowackiego, to to, co „rzeczywiście“, nazywamy Bogiem, a co się wyłoniło z praprzyczyny: „Urgrund“, który to „Urgrund“ Boehme nazywa „Ungrund“ zarówno z Gnozą, która określa go słowem *Būdos* — ono bezprzymiotne „divinitas“, (odróżnienie Boga „deus“ od praprzyczyny bezprzymiotnej), a które Eckhart „niczem“ nazywa.

Bóg Słowackiego, to nie ono hinduskie: „neti — neti“ — „nie to — nie tamto“, ani ten, którego się nie zna, jeżeli go się zna, wyższy jest bowiem ponad wiedzę i niewiedzę, o którym nie można powiedzieć że „jest“, jest on bowiem bytu przyczyną, a przyczyna nie może mieć tego samego przymiotu co skutek (Jambl.) — Bóg Słowackiego jest: ale już jako emanacja „zupełnie niewypowiedzianej jedności, według Neoplatonika Jamblichusa, „wielki władca“ świata, ponad niebem będącego, które Basilides „Ogdoas“ zowie, „przepotężne łono łon, jasność jasności, zmrok zmroków, łaska łask“, mówiąc z Kasproviczem — i tak: „na początku był Pan, a my w Panu — Duchowie: pełnia ojcowskiego łona“, jak mówi Słowacki w Teogonji, a tem określeniem zdradza znajomość gnostycznej nauki o Pleromie.

Jakim sposobem przedostaje się Duch-iskra Boża — do ordynarnej materji, z której tak rozpacznie z powrotem wyzwalac się pragnie? To najgłówniejsze i zasadnicze pytanie Gnozy.

#### IV. CZEM BYLIŚMY? PEŁNIA OJCOWSKIEGO ŁONA.

Bóg najdoskonalsza istota świata tego stworzyć nie mógł — pomiędzy nim, a światem zionie otchlanna przepaść. Ale przepaść tę wypełnia świat Eonów: ilekroć razy jakaśkolwiek z nieprzeliczonych potęg Boga się objawi, powstaje Eon, a ile potęg w Bogu się mieści, tyle Eonów zwolna się tworzy, tak, że w końcu idea Bóstwa całkowicie przez nich wyrażoną zostaje. Objawienie boskich potęg dokonuje się również przez parzenie się męskich i żeńskich Eonów między sobą (syzygie). Cały świat Eonów jest zatem wypełnieniem i objawieniem najwyższej idei, jaką jest Bóg: pleromą: „pełnią ojcowskiego łona.“

Pleroma odpowiada w zupełności temu, co Słowacki w Genezis nazywa „Słowem“, Eoni zatem równoznacznymi z „duchami słowa“.

Na tem jednakowoż się kończy pokrewieństwo nauki Słowackiego z Gnozą.

Gnoza uczy, że świat powstał przez upadek jednego z Eonów, który wskutek zbytniego oddalenia się od Boga zachował już tylko niejasne poczucie boskości, oderwał się wskutek swej niemocy, by się utrzymać w obrębie pleromy i spadł w ciemność materji, którą zapładnia, „Demiurgiem“ się staje i świat kształtuje — Eoni zaś Słowackiego — „Duchowie Słowa“ — tworzą świat z wiedzą i zezwoleniem Boga i dają początek nie przez grzech i upadek, a więc pośrednio, tylko wprost bezpośrednio aktem woli. Upadek grzechowy następuje wskutek „zaleniewienia w pracy“ daleko później.

I ta zachodzi różnica pomiędzy Eonami Gnozy a Eonami-duchami „Słowa“ Słowackiego, że podczas, gdy pierwsze są wyobrażeniami potęg duchowych, a więc Milczenia, Prawdy, Rozumu, Mądrości itd., u Słowackiego przedstawiają się jako siły fizyczne-magnetyczne, elektryczne, atrakcyjne itd. są wprawdzie wynikiem i objawem ducha, ale równocześnie pojęte całkiem konkretnie.

Jasnym jest zatem, że pojęcie „Słowa“ u św. Jana ma całkiem inne znaczenie, aniżeli u Słowackiego: „Słowo“ u św. Jana jest osobą — Chrystusem. Stworzenie samo nie ma nic wspólnego z pojęciem Słowa jest ono dziełem osobowego Stworzyciela — Bóg sam miesza się w sprawy świata, ukazuje się Mojżeszowi i na górze Tabor i sam osobiście daje swojemu synowi świadectwo, jako, że jest jego ojcem, jednym słowem: u Jana jest Słowo Bogiem, jedno i nierozdzielne, przyobleka się w Ciało — wcale to Jana nie razi — staje się konkretną osobą i prologiem całej jego ewangelji.

Całkiem inne znaczenie ma Słowo u Słowackiego — obojętne, czy je przejął od Neoplatonczyków, czy też od Philona Aleksandryjczyka (20 przed Chr. — 40 po Chr.), który starał się pogodzić judaizm z filozoficzną spekulacją Neoplatonczyków.

Słowacki uważa tego rodzaju bezpośrednie ucieleśnienie Bóstwa i uzmysłowienie tegoż jako coś, co z pojęciem bezprzymiotnego Boga, którego jeszcze „nikt nie widział“ w żaden sposób pogodzić się nie da, zetknięcie się bezpośrednio Boga ze światem, który Boehme słusznie „poronieniem“ nazywa, uwłacza nawet pojęciu najwyższego, pozabytowego Bóstwa: przepaść między światem a Bogiem musi być czemś wypełniona, a tym między — światem — międzyłonom jest właśnie Słowo — Logos.

Ale już u Philona rozszczepia się to łono Boga, ten najogólniejszy Byt (τὸ γενικώτατον) idea idei, architypiczna idea, świat uświadomiony na logoi, i indywidualne duchy — staje się pełnią ogromu wszystkich w świecie działających duchów i potęg — u Słowackiego zaś „mieszkaniami Duchów Słowa“

(ολκρητίστον Gnozy) i ich „pełnią“ (πλήρωμα), Duchów Słowa — „synów“ Bożych — (ten „jeden“ syn, Chrystus, jest tylko pojęciem zbiorowem wszystkich synów, bo „wszystko to, co w widzialności pracuje jest Słowem Boga, czyli Chrystusem“) — Duchów, które same z siebie wywodzą kształty — i niema innego nad nich Stworzyciela —

„albowiem Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie, a jam był w Słowie“.

(C. D. N.)



Z. Pronaszk

## U POETÓW

PAWEŁ CLAUDEL

## Z „WIERSZY WYGNAŃCZYCH.”

## I.

*Pawle, w podróż piękniejszą wyruszyć nam trzał  
Raz ostatni, gorzką im serca jątrząc ranę,  
Ucałowałem twarz rodziców splakane.  
Teraz-em sam pod słońcem, w którym fala gra.*

*Taka bezbrzeż wód, którą wiatr posepny miota,  
Lub której niezmierzoność, cały długi dzień,  
Ochłania korabl tęczą uroczystą lśnień;  
Żegluga, ogni brzeżnych jaśń daleka, złota;*

*Tyle nudy, trosk, zniekań na wielkiej topieli;  
Przybycie — świt — port rajski — nagich ludzi szlak,  
Wonie kwiatów, owoców nieznanomych smak;  
Tyle gwiazd i ziem tyle, któreśmy minęli.*

*Lecz ten drugi skraj świata — poza którym Nic! —  
Zdoła-ż powściągnąć żądzę duszy mej szalonej?  
Rumaku, daremnie ci kielzno w pysk włożono.  
Dalej! W nieba bukszpanie wskazy gwiezdnych świec.*

*Oto godzina parna i noc mordująca!  
Oto Krok — i przystanek wśród nieznanych stref.  
Dreszcz zgrozył oto znowu czarodziejski zew  
Nieodpartego głosu ucho me zatrąca.*

*Dal, którą zbiedz mi jeszcze — to nie morza pas.  
Żaden tor nie jest drogą, którą przebyć muszę;  
Szlak bez witań w powrocie, wyruszać w otusze,  
To jutro nie jest jutrem dnia, co wczora zgaś.*

## VIII.

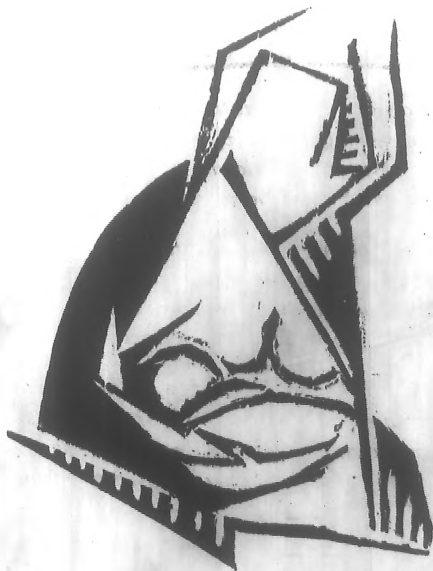
*Odbierz talent, który-ś mi powierzył w on dzień!  
Bankier go nie chce: pono to nie ma obiegu.  
Nosilem sykl ten dziwny wśród ludzi szeregu,  
Kupiec za nic go waży — i nic mi też zeń.*

*Nikt nie rozpoznał jego stempla ni metalu.  
Sam — wiem tylko, że bardzo ocięża mi dłoń.  
Nie zużył się; jeżeli jutro przyjdiesz poń,  
Oddam ci go w całości — ochotnie, bez żalu.*

*Sam sobie zysk zeń ciągnij! Korzystaj na schwał!  
Odbierz go. Wiem, żeś skąpy i że zbierasz plony  
Nawet z ziemi niewdzięcznej, wyschłej, zachwaszczonej,  
Odbierz jednak swe dobro — napróżno-ś je dał.*

*Jam oracz bruzd jałowych na twardym wygonie!  
Z pracy rąk mych nic żaden nie przyniósł mi dzień.  
Żądasz zwrotu zadatku? Jam goły jak pień.  
Pytasz, com wypracował? Patrz, puste me dłonie.*

MIRIAM



*Madonna (drzew. oryg.) — J. Hulewicz*



WACŁAW BERENT

## OPOWIEŚĆ RYBAŁTA

(C. D.)



rażony głęboko na brata Łukasza porządkuje przeor jego pędzle, farby i pióra. „Nie zwierzaj swych myśli młodemu! — pomrukuje w brodę. — Oto skończyć mieliśmy dzisiaj dzieło nasze, a on po tylu latach wspólnego trudu, wmiast świętem radośnym dzień taki dla nas obu uczynić, poczyna mi kaprysić, —

że się pióra rozszczepiły, że wyschły inkausty, że... Poszedł sobie na ogód, do swych kwiatów. I Bóg z nim!... Nie zwierzaj nigdy swych myśli młodemu!”

Po chwili jednak kiwał smętnie brodą:

„Nie jesteśmy, klerki stare, nad swemi księgami, jak te Behemoty, — nawet Jordan wypić gotowe?!... Podczas gdy serca młode będą zawsze wołały liche czarki własnych „doznań i widzeń” byle pełne po brzegi wszystkich mętów ziemskiego tworzywa!”

Może te dalekie pomruki grzmotu, szyb rozbyłski co chwila, a i ta okrzepłość powietrza przed burzą, za oddechu ciężkością, wypelniały piersi stare takim dziś rozdrażnieniem. — W gniewnej krztęności porządkowania wszystkiego w celi, jął układać i swe księgi w skrzyni, dzisiaj bardzo jakoś pomieszane:

Oto: *De universalibus*; oto: *De periculis novissimum temporum*; oto: *Gesta principum*, a *Vitae sanctorum* w księgach wszelakiego kształtu; oto: mistrza z za gór *Commedia*; oto: przez mnichów spisana żonglerowa opowieść *O graalowym szukaniu*; oto: *Tractatus de malitia mulierum*; — zgoła rzeczy najbardziej odmiennego ducha i wszelakiej treści pomieszały się dziś w nieładzie wielkim. — Jedno nawiązanie celi samotnej przez czelka świeckiego wprowadziło wszystko w zamieszanie! Dużo czasu upłynie zanim się to wszystko do porządku znowu przywiedzie!...

Oto aż na samem dniu znalazł księgę dla się najmilszą, a tak rozczytaną, że jej skóra starła się by podeszew, a omiękła zupełnie; zasię obrzeża kart wszystkich zapisane były ręką przeora nieskończonym szeregiem cyfr i uwagami dysputacji.

Tę księgę pod pachę wetknąwszy, resztę zatrzaśnął w skrzyni. I przygnębieniem myśli na przekór, spornie i tym grzmotom burzy, otworzył księgę na kolanach. Zwała się ona: *Introductorius in evangelium aeternum*. Napisał zaś ją franciszkanin Gerardus, — niech będzie błogosławione imię jego!

I zatonał przeor w ciszy wnętrzej, — zaczytał się w księgę.

Po pierwszym okresie człowieczeństwa: epoce gniewu Bożego i przymierza w Testamencie starym, po epoce Syna i Sakramentów Jego, w księży ziemskim szafarstwie, — nastanie wieczny czas Ducha, — swobody wnętrzej u najczystszych krynic poznania. Obwieścił to światu Joachim święty. I wtedy, — powiada, — kierować będą losami człowieczeństwa — najbardziej oświeceni i najwolniejsi od pęt własności wszelkiej. Bowiem poucza święty Ambroży, iż Bóg chciał, aby użytkowanie owoców ziemi wszystkim wspólne było, i że chciwość tylko czeleca stworzyła posiadanie. — Za prawa nakaz, za króla rękawicę czerwoną i mistrza miecz, ład rządny między ludźmi utrzymywać wtedy będą wszystkie cnót siedem: — wiara, nadzieja, umiarkowanie, mądrość, dzielność, sprawiedliwość i miłość. Wówczas dusza pogodzi się z ciałem.

Prorok czasów pochrystusowych, święty Joachim de Floris, ustanawia pierwszy okres człowieczeństwa od Adama do króla Osiasza: — do roku 630-tego przed Narodzeniem Pana, odkąd poczęło się przez proroków wysiewanie ziaren okresu drugiego; — każda zaś epoka równą być winna co do ilości pokoleń. Że zaś Chrystus Pan od 30-tego roku życia począł mieć synów z ducha, tedy na lat 30 ustanawia Joachim długość każdego pokolenia z ducha. I oblicza dokładnie pokoleń 63 od Adama do Osiasza. Równości okresów, wedle pokoleń, pozwoliła z kolei obliczyć Gerardusowi, że Ducha królestwo nastanie na świecie w roku 1260-tym!

I oto minął dawno rok ten! Nie nastąpiło. Gerardus pono w więzieniu za kacerstwo skończył. Franciszkanów generał, który, mimo wszystko, podjął

był wróżbę Gerardusową dla sprawdzenia, czy się w niej aby jaka cyfr omyłka nie zataiła była, — generał ten został strącon przez papieża. A zawiedziony duch człeczy sprawił, że na synodzie w Arlu, w roku 1263-cim, potępiono Joachima naukę o *Ewangeliu wiecznej*. Dognębić ją starał się nawet uniwersytet paryski sam, ona księga nienawistną: „O niebezpieczeństwach czasów najnowszych“.

A napisane jest wszak najwyraźniej w Apokalipsie Janowej, jak to apostoł... „ujrzał anioła lecącego przez pośrodek nieba, mającego *Ewangelię wieczną*, aby ją opowiadał wszystkiemu narodowi i pokoleniu“... I przeciw temu śmieją oto powstawać synody, uniwersytety i mistrze!

Tak dumal kacerz, w czas burzy, nad księgą potępioną.

Ten ból niespełnionej wróżby wypełniał serca tyłu franciszkanów, co znaczniejszych! Zawiodła jeszcze jedna nadzieja człowieczeństwa, chybiła jeszcze jedna Graalowa obietnica... Błądzący rycerze wedle ducha: Joachim i Gerardus (niczem Parsifal i Lancelot na jednym koniu!) odjechali na księżyc rojeń płonących, sprawując i ztamtały jedno tajemnicze władztwo nad nadziejami wszystkich wagantów wedle ducha.

I one to zmyły księżycowe sprawiały chyba, że księga przeora na obrzeżach kart pokrywała się cyfrą bezlikiem, sprawozdań i obliczeń nieustannym trudem, a dysputacji długimi wywody.

I teraz oto, — w burzowym ściemnieniu świata za oknami celi, gdy klasztor stawał, jak w ogniu, w błyskawic rozblaskach, pod sygnaturki alarmowe rozdzwony, — przeor, ogłuchły na głosy świata, skupiał się coraz bardziej nad księgą, rozłożoną obecnie na kłęczniku, pod wiecznej lampki płomykiem.

Już pierwsze krople ulewy zaszmiały na liściach sadu. Przed nawałnicę ostatecznym uderzeniem uczyniła się, pod to kropel deszczowych padanie, taka cisza w ich rytmach, że słycać było na drodze, za murem, gdyby jeźdźca jakiego skradanie się pod klasztor, w stępie kopyt, głuźszonym we mchach. Pod klasztoru furtą zatrzymał się jakby ów konny. I czeka...

A cedru gałęź zaskrzypiała o mur tak tajemnie, jakgdyby u furty zatrzymał się było przyjezdny nie z tego świata, — pod konia niecierpliwie tupotanie o próg...

Kacerza nad księgą w tej właśnie chwili jakby na konia wsadziło: — w nagłym rozbłyku myśli nowych pogoniło pióro jego po obrzeżu karty.

I pisze:

„Jako żywo, omylili się Joachim i Gerardus w obliczeniach swoich!... Okres drugi człowieczeństwa nie od króla Osiasza, lecz od narodzenia Chrystusa Pana, jako słusznie, liczyć się winien. Ducha więc królestwo na ziemi: panowanie najwolniejszych wewnątrz, i najbardziej oświeconych, — nad wolnymi i oświeconymi, a czepianie z najczystszych źródeł poznania, zacznie się, (wedle 63-ch pokoleń po lat 30), od roku 1890-tego!

Wprzód jednak ziścić się ku temu muszą przedwstępne wróżby Janowego Objawienia: jak to... „będzie rozwiązany szatan z ciemnice swojej i będzie zwoził narody; zbierze je na walkę, których liczba jest jako piasek morski... I rzucon będzie w jezioro ognia i siarki“. — I wonczas dopiero... „otrze Bóg łzę każdą, a śmierci dalej nie będzie, ani smutku, ani krzyku, ani bóleści dalej nie będzie, iż pierwsze te rzeczy przemienią... I niebo będzie nowe i ziemia nowa, albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia — przeszły!“

A gdy pióro z ręki przeora wypadło, zatrzymała się myśl jego nad wyliczonej cyfry ogromem. Jeśli nawet sądzono światu doczekać lat tak bezmiernie odległych, ileż to jeszcze łez, ile bóleści, ile smutku przewalić się musi przez takie czasu oceany?!

„Rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty!... — chwytal się oburącz za skronie.

Długo siedział tak starzec na skrzyni skarbów swoich — pod czarnym skrzydłem melancholii.

I nie mogąc wymotać ducha z tych myśli pajęczyny, na poły bezwiednie, a smutną ręką, zaczyna znów kreślić cyfry jakoweś: — sprawdza, liczy, mnoży...

Jakże się nie miały mylić obliczenia przeora, gdy brat furtjan z palcem na ustach, a drugą dłonią na piersi, stał już oddawna na progu celi! — Cierpliwie wyczekiwał mnich spojrzenia ojca, które mu przemówić pozwoli.

Tymczasem tuż nad klasztorem samym zagruchotał grzmot, potoczył się górą jak ta kula przez kręgle niebieskie. I trzasnął. ...Furtjan poczuł nagły ból w piersiach, w uszach szum okrutny i ten szczypiący zagnał posmak w ustach.

„A słowo stało się ciałem! — zażegnany gęsto prerażenie swe. — Chryste, z jaką furją trzepnął ten piorun! — pewnie w to złe miejsce za klasztoru granicą.“

Z zaświstem jędz rozchichotanych, a strugami ulewy, smagała nawałnica małe okienko celi.

Wejrzał wreszcie przeor ku tym szybom.

„Burza“, — stwierdził teraz dopiero.

„Od dwóch godzin”, — objaśnia furtjan nie bez uragliwości w głosie.

Ocknął się ojciec z ciszy wewnętrznej. I wtedy wreszcie mógł doń podejść mnich ze swą wieścią od furty:

„Igrze u klasztoru bram!”

Dwa razy powtórzyć sobie kazał przeor tę nowinę. Poczem schwył się za skronie: największy oto zgiełk świecki chce mu spaść na głowę! Głośniejsze to od burzy i piorunów — hałasem dusz swych niestatecznych.

A tam na korytarzu już się jakoweś szepty wszczynają między braćmi. (Pewnie furtjan poroznosił już po klasztorze tę nowinę). Niczem myszy z norek wystawiają mnichy bure swe kaptury z za uchylonych drzwi celi każdej. „Joculatory?!“ — rozlegają się szeptania ich radosnej alteracji.

Przemówiły samotnictwa przedgrobowe schrony.

Pojął przeor niebezpieczeństwo grożące ich duszom. I nachmurzył się cały. Jakże bo przepędzić od furty tamtych włóczęgów — w taki czas ulewny?!

Brat furtjan dopowiada tymczasem nowiny swoje, długie snadź dzisiaj i niezwykle:

„O trumnę igrze u furty proszą. I o ciała kamrackiego pogrzebanie w klasztorze... Czego żadną miarą uczynić wszak nie możemy?” — kończył z wyczekującym a bystrem zapatrzeniem się w oczy przeora.

„A któryż to z nich zmarł? Jakowej igry mistrz?”

Doskoczy furtjan i przez dłoń w trąbkę szepnie przeorowi:

„Goliardus sam!”

„Aa?!...” — aż się stary w tył zatoczył, pod same okno celi. By ztamtąd dopiero zdumione oczy zawiesić na obrazie u kłęcznika:

„Matko Przenajświętsza?!...”

A potem już tylko gestami pokazuje, przypomina bratu furtjanowi, że wszakże dziś przed południem goliardus tu w celi był, tu owo na skrzyni siedział, gęśle oto swe (jakby w śmierci przeczuciu) kościolowi za v o t u m zostawił.

Przytwardza, potakuje wszystkiemu brat furtjan. A ręce jego splecione i pobożnie zwisła głowa zdają się wygłaszać tę medytację: — „Śmiercią samą i grobem cuchnącym jest każdy z nas. Żyjąc umieramy każdej chwili nieustannie i dopiero w konaniu, umierać przestajemy”.

„Myśmy go od się odepchnęli precz! — wzbuchnął przeor, nie skłonny snadź w tej chwili do pocieszeń filozofii. — My, mnichy niemiłosierni! My, bracie furtjanie!”

Ale mnich skrzepł nagle na twarzy, zsurowiał sądem sumienia swego: nie chce przytwardzić roz-

zaleniom przeora. I kończąc swe nowiny od furty, powiada głucho:

„Znaleźli kamraci ciało jego w złem miejscu, — za granicą, — kędy niejedna już dusza dokończyła się na S a b a c i e...”

Lecz w tejsze chwili ujrzał nad swą głową wzniesiony nagle kulak przeora:

„Do dominikanów mi z temi baśniami o Sabatach idź!”

W oka mknieniu skurczył się mnich, a zezem z pod kaptura wyblysnął zdumieniem ku twarzy ojca. I wtedy przeraził się już zupełnie:

Zwihrzona była w tej chwili broda starca, potargany nad czołem włos, z pod najeżonych brwi krzeszały się skry jawne: — mojeszowy gniew objął tę głowę.

„Niema sabatów, dusze wy obłędliwi!”

Stał się w proch brat furtjan przed srogoscią ojcową. Powalił się na kłęczki. I oburącz chwytając się tej nogi nad bosą stopą w drewniaku.

„Ojciec najświętobliwszy, w przedburzowy czas, na złem miejscu, za klasztoru granicą, tam był był Sabat!... Sumienie mi o tem u nóg twych krzyczeńć każe, — skoro dusza twa najczystsza odpycha nawet wyobrażenie takich mroków i niskości grzechu!... Piersią na ciele dziewczki nagiej, — i jak on już martwej, — leżał trup goliarda. I potargane miał na szyi opatrunki jakoweś, założone mu nocy poprzedniej przez lekarza, — po krwi puszczaniu, powiadają towarzysze jego. Może te rany niezgojone ku wnętrzu krwawić jęły, — z żalu za kochanką, — więc je roztergał. A może z umyśłu na się rękę podjął, w rozpacz, że dziewczka umiera?... Szatan wie o tem tylko! On ci to jadem grzechu i krwią rozpusty spętał te ciała na śmierć. Bo krew z tych otworzonych żył goliardowych zalała posoką okrutną całe jej ciało. A pierś dziewczki od ukąszenia węża wzdęła się w pęcherz siny, aż po szyję i twarz... Wąż grzechu pobok leżał — zabity, a czarny w juchy swej purpurze, jak piekło samol!... Widziałem to wszystko na własne oczy — w łuczywa światła. Bo igrze, furtę wylamawszy, siłą mnie tam zawlekli — (pierwszego schwytanego mnicha), — bym wypowiadał, — jako że dziewczka zipała pono jeszcze. Ale zanim mnie przez te gąszczce na wale tam przywlekli, już było i po niej... Ustrzegł Bóg (nawet pod tych igrców przemocą) do pochylenia się bodaj nad tem ścierwem... Choć oni za tę przemocę przepraszali mnie potem bardzo, po rękach wszyscy całowali, do kolan się moich garnęli i wyplakiwali swe żale w habit mój... Biedne to i żalosne plemię! (Może dał Bóg ustrzedz bodaj te dusze przed djabłów naporem w onej chwili)... I to jeszcze widziałem w lu-

czywa światło, — pokazały żaki: — palcem we krwi własnej maczanym wypisał goliard przed skonem te słowa dziwne na marmuru złomie:... „Żem zdraźniał, żem niżyl, uśmiertelniał tonl — rozszarpały mnie Bakchowe...“ Na tem się urwały one słowa: już snadź dusza odlatywała zeń wtedy. — „Rozszarpały Bakchowe...“ — Wiedźm, wiedźm szponyl kobiecych chuci pazury widział goliard w chwili ostatniej: — strzyg wokół siebie taniec Sabatowy!...“

Odepchnął przeor mnicha od się precz. A i uszy przysłania przed tem; co tu wysłuchać od niego musiał.

Brat furtjan poję jego habitu chwyta, rąbek caluje i szlocha już wręcz:

„Ojczy oświecony, nad księgami od żywotów oddaliłeś ty się człeczyl! Nie chcesz wiedzieć o najmniejszych przepaściach dusz. Życia czucie zatrąciłeś w mądrej głowie klerka, w piersi nazbyt już dla świata szlachetnej!... Sął są sabaty na świeciel“

Za te bary, szerokie jak u wołu, chwycił przeor klęczącego mnicha. I trzęsie nim by snopem:

„Nie Duch a wiedzenia oczekiwac wam, franciszkany, w codziennych Świątkach duszy, a maic ku temu tatarakiem tę świetlicę radości: izbę swą samotną?!... lecz w ciemności, lecz nad przepaście chaosu, z gromadami ciemnych biedz i po ciemnych gdzieś kątach wyczekiwać duchów nawiedzin?!... Franciszkanin że ty?!... Nie radość jasną przychylać światu? — lecz zaświaty kusić? lęk i grozę rozczyniac w ponurej ciekawości żądz?!... Bo z żądz zatajonych rodzą się w zwidzeniach wszystkie duchy, widma i upiory! — A gdy się te błota w gromadach całych wzburzą wonczas na złych miejscach schadzek tych dusz obłędliwych, — wierę, — nawet ogień i siarka buchać poczną! Wonczas, — wierę, — nastaną i sabaty... Ale tymczasem *nasz duch*, — Franciszkanów! — dźierz władzę nad duszami świat! I nie dał jej sobie jeszcze wydrzeć mnichom czarnym!... Więc sabatów nie ma, — wiedź!“

Brat furtjan na klęczkach wyciąga już tylko niemo ręce obie na przebłaganie ojcowego gniewu. Ale przebłagać nie zdołał:

„Nie igrców przemoc wywlokła cię tam, — za granicę, — nie ich prósy nawet, lecz własna twa ciekawość... Wyznaj mi natychmiast grzech swój!“

Mnich w piersi się bije, aż huczy w celi:

„Rzekłeś ojczel“...

„Jaka dusza, takie i widzenie. Nie inne ponoć i świadczenie. Opowieściom twym wierzyć nie raczę! Nie targnął się na swe życie ten, kto wyspiewał o Sądzie Ostatecznym pieśń oną, która wstrząsa kościołami świata... A to jedno, bracie furtjanie,

waży przed Nią — (przeor wskazał na obraz u klęcznika) — może więcej niżli moje i twoje życie!“

Mnich ukrył twarz w dłoniach i poczołgał się na kolanach do klęcznika.

„Tam, — przeor wskazał ręką ku górze, — ważyć będą na drugiej szali i winy goliarda. Położą na nią wszystko!... I tę dziewczę nagą. I te grosze, jakie mu ona wtykała w trzos. I, w onej hańbie, tę wielką zawsze pychę klerka. I te jego bluźnienia Rzymowi, a biskupom: że papieża Plutonem obezwał, dźierzcą niby piekielnym, a biskupów za „capitacornuta“ opisał. I te pieśni jego na cześć Bakcha i Wenery. I te śpiewki sprośne o wdziękach kobiet i dziewcząt. I te najplugawsze: o powabach chłopiąt. I te wszystkie księgi kradzione przezeń po klasztorach. I wzgardzoną niegdyś sutannę. I szarganą w poniżeniu a hańbie szatę klerka.“

„Ochl!“... — jęknął mnich pod tych brzemion śmiertelnych wylczeniem.

„Co więcej rzekę-ć, bracie furtjanie: — nawet te liche grosze, jakie goliard niegdyś otrzymywał od oświeconych za one pieśni, które ubogaciły serce człowiczeństwa, — nawet te liche grosze położyle mają — ponoć! — również na tę drugą szalę. Bowiem powiada najwymowniejszy ojciec kaznodzieja, dominikanin, Berchtoldus: „Kto im grosz daje, w grzechu daje; a co w grzechu dane, na potępienie tych dusz obróci się w dzień Sądu Ostatecznego!“

„Ochl!“ — jęczy mnich w klęczniku.

„Przeważy, bracie furtjanie, ta szala druga. Przeważy niechybnie! — nie pomogą tu i nasze pacierze... W tej chwili ostatecznej może już tylko Ona — (przeor wskazał na obraz nad klęcznikiem), — może ta Ucieczka nędz ostatnich, sponiewieranych Matka boleściwa, a igrców Orędownica przed Bogiem jedyna, — może Ona to właśnie zwróci goliardowi votum jego... I położy na szalę pierwszą — gęśle poety.“

Mnich runął przeorowi do nóg. Lecz on podjął go natychmiast. „Powtórz, — rzecze, — to wszystko braciom, aby godnem sercem iranciszkanów przyjęli tu dziś mdłych braci naszych ze świata.“

I wyprowadził mnicha za celi próg.

„Joculatory?!... — wybiegają za furtjanem po korytarzach wszystkich, dygocące aż w gardlach, ciekawości mnisz. — Czy aby przeor na igrę pozwoli?!... Opat benedyktynów, powiadają, pobłaża czasami.“

Z palcem na ustach, a drugą dłonią na piersi, przemyczał się po korytarzach plotkarz klasztoru.

Podwójnym szeregami od furty ku wrotom kościoła ustawili się igrci i żaki wędrowne.

Gdy goliard pozostawił ich był na gościńcu, oddaliwszy się w żarliwej rozmowie z onym człkiem z za gór, który mu tyle opowiadał o wielkim mistrzu tamtych stron, — towarzysze czekali nań cierpliwie, rozbiwszy obóz cyganów w najbliższym gdzieś lesie. A niedoczekawszy się jego, gdy skoczka zaniepokojona pobiegła za kochankiem, postanowili szukać i oni. Pobląkawszy się po okolicy, pod sam wieczór, a w burzowy czas, — jakby złem przecuciem wiedzeni, — trafili w ono miejsce za klasztoru granicą.

A teraz oto, gdy burza już minęła, ustawili się dwoistym szeregiem od furty, na tem uroczystsze podniesienie ciała pod kościół i uproszenie mnichów o pogrzebanie towarzysza w klasztorze.

Już oto niosą go żaki na marach, zdziałanych naprędce z desek jakowychś. Pochyla się przed zmarłym pstra gromada towarzyszy sztuk wszystkich, — zbita i zszargana ulewą, — żaloszny obraz waganctwa i poniewierki!

Jeśli mnichy pogrześć goliarda w klasztorze nie zechcą, wonczas na żywy protest przed Bogiem i światem położą ciało jego na samym progu zamkniętego kościoła. Niech mu kruki wieży klasztornej sprawią pogrzeb włóczęgi: niech rozdziobią przed oczyma mnichów!

Taka ponurość ogarnęła ich myśli. Niema bo, wiadomo, gorszego poczucia sponiewieranej doli nad pogrzeb towarzysza niedość szanowny. Wtedy najboleśniej odczuwali swe wypchnięcie za ramy społeczności. I co to znaczy na świecie: nie należyć do żadnego cechu.

Czuwa jednak nad zmarłymi tajemnicza wszędy ręka bractwa *Misericordyi*. Oto, niewiadomo skąd, już się znalazł u furty on słup kiru z czarną larwą na twarzy, rozciętą w krzyża znak. Z ramion tego krzyża na licu, by gwoździe Męki Pańskiej, wyzierają żagwie oczu... „zmarłego czleka, czy śmierci samej?!“ — zapytasz mimowoli, ujrząwszy takiego w pogrzebu czas.

Pochodnię dzierży w dłoni, w olejach snadź maczana, bo rzucającą blaski bławne, a rozpinające się po nawilgłym powietrzu w koliskowe łuki fioletowych aż gloryj. Z tą pochodnią wstępuje w ulice żalobników, wystawia się przed mary niesione.

Wkroczywszy na próg kościoła, wznosi pochodnię. W jej świetle, gdyby nieziemskim, zagrobowych, rzekniesz, mrzeń, ukazuje się teraz dopiero ciało niesione na marach. Pod przemokłym nawskroś czarnym płaszczem i kapturem klerka rysuje się jawnie zeszytniały kształt trupa.

A śmierć na progu kościoła uderza potrzykróć w odrzwia zamknięte. I w echową głusz wnętrza wola z za larwy, a krzyża:

„Ja, goliardus, poeta wędrowny, bez imienia u ludzi, zmarłem tej nocy grzeszną śmiercią włóczęgi — za murami, w polu. Wyzwólcie duszę z czyścowej męki, wyzwólcie jałmużną!... A ciału pogrzebanie chrześcijan dajcie!“

Niczyją, zda się, ręką nie tknięte, jakby same otworzyły się naścieżaj wrota kościoła. W głębi jarzą się na ołtarzu świece wszystkie. Pod nim stoi trumna czarnem suknem obita; na jej wieku widać gęśle i amycek złożone w krzyż.

Gospodarz klasztoru zgotował włóczędze szcudroblive przyjęcie w domu wiecznych cisz.

Brat Łukasz powrócił było z wieczora do celi z bielmem *Acedyi* na oczach. Doświadczony pasterz trzody swojej, przeor, dojrzał pierwszy nierządne go smutku zmacę w żrenicach brata. Jakby lampę zgaszono w tych piersiach: nie świeciły już oczy blaskiem wewnętrznym. Nie pracowała już w sobie dusza; na zewnątrz zwracało się wciąż spojrzenie trwożne a tępe. I zawisało gnuśne na powierzchni rzeczy każdej. Już i różaniec nawet sam, szeregiem kostek dłoń tylko był, obracanych w palcach nieustannie, a bez pacierza. Ku niczemu utrudzały się palce; dusza drzemała. Posiwiwała najwyraźniej przez jeden wieczór koronka włosów na ciemieniu. O potępieniu swem wciąż mówił, nie wierząc, iż zdoła kiedykolwiek wymodlić duszy swej zbawienie. Do farb i pędzli poczuł nagle odrzę. Do ludzi zaś, — do braci w klasztorze, — nienawidzić; o czem (w jadowitej potrzebie bluźnienia) mówił im wprost w oczy.

„*Acedja!* — myślał przeor ze zgrozą. — Boże bądź mu miłościwi!“

Jakoż Bóg zmiłował się: i ocknął, wstrząsnął tę duszę, — ale śmierci owo obrazem i zjawą.

Za tym słupem kiru z larwą krzyżową na licu, — ni ten skowronek za sową, — z musu, z bezwoli, w tkliwym prawie oddaniu się grozie przemocnej, błędził brat Łukasz krok w krok.

I już nic nie widział, co się w kościele działo.

A gdy ona po jakimś czasie wyszła z kościoła nawą boczną i z bławem światłem swej pochodni wstąpiła czarna w krążanki ciemne, — w tymże blasku zagrobowych mrzeń trzepotał się skowronek u krążanka ścian.

I lkał.

W otchłanną ciemność świata mruga wciąż jeszcze burza przycichła, lecz już nie oknami błyskawic, a wrotami niebios całych, otwieranemi cicho, raz po raz. Drzewa za furą, nawalnicą tak długo targane w upiorne po nocy zjawy, teraz dopiero powracają do kształtów swoich. A tak stulone, jeśli

rozchwieją się jeszcze niekiedy, to chyba tylko grozy przypomnieniem, — i szeleszczą, szumią po oddalich minionej już burzy muzykę i rapsody... Ledwie tu i owdzie roztargały się chmury, ukazując niebo jak gdyby omyte, o tak djamentowem rozblyszczeniu gwiazd. Wokół pachniało ziemią, jak o świcie, choć ciemność jeszcze zalegała świat. A taka rozgłośność jest w powietrza pełni, że słychać po oddalich jakoweś rozgwały, nie wiada skąd, — jakby nad pioruna śladem i ofiarą, nad gromowego ognia zgłiszczem i ruiną.

Brat Łukasz szlochał wciąż.

A śmierć tymczasem, wystąpiwszy za furte, skierowała się w stronę grodu.

I zdało się mnichowi, że nad jej to wędrowaniem ten szum i szelest przebiega po wierzchołkach drzew; że o goliardowej doli szumią te poburzone rapsody, że jego to życia burza jakby nową woń ziemi dała i odnowiła gwiazd rozbliski na niebie.

I wydało się bratu Łukaszowi, że, gdy w grodzie gaszono już gromnice po oknach, a stróże nocni

podjejmowali od nowa przerwane nucenia, — że w onej to chwili trzykrotne uderzenie w bramy głuchem echem rozległo się po mieście całem. I że ten i owy, co się do snu już było z powrotem układał, znów się zrywał, by po raz wtóry zapalać gromnicę.

„Kto zacz?!... Werda?!...“ — krzyknęli na rogach stróże nocni, podnosząc latarnie nad swe czoła.

Bo śmierć, przewiawszy przez bramę zamkniętą, wstąpiła w ulice grodu.

I obwołuje z pod kiru, a krzyża:

„Ja, goliardus, poeta wędrowny, bez imienia u ludzi, zmarłem tej nocy grzeszną śmiercią włóczęgi — za murami, w polu... I karą męki czyscowej umierać będę wciąż, w coraz to innych duszach tułaczycych, po wieki szukających szukaniem dośmiertnem, po wieki przez was odrąconych precz — na sabaty konania w rozterce, — w najboleśniejszą godzinę niedopełnień... Wyzwólcie dusze tułaczę z wiekowej poniewierki, wyzwólcie z niedopełnień katuszy czyscowych!...“

(D. C. N.)



Diszawryt oryg. — J. Wronkubi.

MICHAŁ SOBESKI

## NA MARGINESIE DON KISZOTA

## III.

(C. D.)

Wzloty w krainę mistyki równoważy jednakowoż u Cervantesa silny instynkt realistyczny. Gorąco miłuje życie, rozkoszuje się jego barwnością i bujnością. Gdy wspomina Włochy, piękne i wesole, doбира najświetniejszych barw z bogatej swej palety. Nie mniej co sztuka włoska, upajają go wina włoskie. Ślawi łagodność Trewiana, potęgę Monte-Fiaskonu, siłę Asperina. Dla kobiet ma iście rycerski szacunek. Lecz znając doskonale „bujność” życia, nuci z złośliwym uśmiechem pod nosem:

Es de vidrio la mujer  
Pero no se ha probar  
Si se puede ó no quebrar  
Porque todo podria ser.

A potem, w imię szczerości artystycznej, dla której wszelkie objawy życia są równo ważne, nie zapomina o odwrotnej stronie medalu. W jego „komedji ludzkiej” nie brak typów, grupujących się w mniejszym lub większym oddaleniu około „Fikcyjnej Ciotki”.<sup>1)</sup> Przy rysowaniu postaci tych nie kępuje się zgola żadną pruderją, wychodząc z słusznego założenia, że co czarne, może być oddane jedynie czarnymi barwami. Lecz dalekim jest od bezwzględного rzucania kamieniami potępienia. Od tego chroni go właśnie prawdziwa religijność, nakazująca bić w piersi najpierw siebie, a potem dopiero rozglądać się po innych. Wie że „zło” powstaje najczęściej tylko z nieprzyjawnego zbiegu okoliczności, igrających przemożnie ułomnością ludzką. Śledząc rodowód zła, wywołuje nieraz wrażenie, że go broni. Stąd posądzono go nawet, że w pismach swych kruszy kopje za... rajfurstwem — iście godne pendant do podobnego posądzenia, jakiego nie oszczędziło mu życie. I wprost uwierzyć trudno, że odezwały się głosy: Cervantes broni rajfurstwa, bo sam był rajfurem! A to rzekome „bronienie” opiera się na kilku wierszach rozdziału 22-go pierwszej

części Kiszota. Do starca, prowadzonego na galery właśnie za to przewinienie, powiada Kiszot, że właściwie winien on zostać nie więzieniem, jeno generałem galer. Zawód rajfura, jaki uprawiał, wymaga bowiem ludzi roztropnych i dobrze urodzonych. Nadto jest on koniecznością w państwie dobrze urządzonym, gdzie nie powinno braknąć nawet egzaminatorów tego métier, jak ich nie braknie dla żadnego innego rzemiosła. Swawolna żartobliwość tych słów jest oczywista i byłoby niedorzecznością wykladać je dosłownie i na serjo. A jednak i tacy się znaleźli! By i tym wytrącić z ręki kamień, wymierzony w Cervantesa zresztą nie tylko z tego powodu, napisał Manuel de Castro Alonso, kanonik z Valladolid, całą książkę o „moralności” Kiszota („La Moralidad del Quijote” Valladolid 1906). Nawet gdyby owe słowa, zwrócone do galernika, były powiedziane na serjo, nie wolno potępiać Cervantesa — powiada uczony kanonik (por. str. 164 i nast.) Należy pamiętać, że pogląd taki nie był bynajmniej rzadkością w czasach Cervantesa. Wogóle liczni teolodzy, między niemi św. Augustyn i św. Tomasz, tolerują poniekąd wspomniane zło, by uniknąć zła jeszcze większego — jak przekonać się można z miejsc z ich pism, szczegółowo wskazanych przez obrońcę Cervantesa. Zawód rajfura nie był wówczas uważany za tak niecnotliwy i naganny, jak dzisiaj. A potem — dodaje kanonik — nawet w Piśmie Świętym, które nikt nie ośmieliłby się nazwać niemoralnem, znaleźć można opisy znacznie żywsze, barwniejsze i więcej naturalistyczne, aniżeli w Kiszocie Cervantesa.

\* \* \*

Symbioza skrajnego idealizmu i skrajnego realizmu była może najcenniejszym dziedzictwem, przekazanem Cervantesowi z ducha swego narodu. Duszy hiszpańskiej są tak samo bliscy św. Teresa i św. Jan od Krzyża, co torero, kąpiący się w krwi rozjuszonych byków. Tam seraficzne wzloty duszy, wyanielonej bezwzględnem stłumieniem ciała, tutaj: oro, seda, sangre y sol — złoto, jedwab, krew i słońce — jakoby alchemiczna kwintesencja zmyślowych uroków życia. Oczywiście w żadnym narodzie nie brak skrajnych przejawów duchowości i zmysłowości. Lecz też w żadnym, prócz w hiszpańskim, nie czci się wielkich świąt kościelnych... morzem krwi na arenie cyrkowej. W żadnym nie przechodzi się tak bezpośrednio od słodkiej woni mszalnych trybularzy do ostrego zapachu krwi zwierzęcej i tak często także ludzkiej, od strzelistych szybowań ducha do delirycznych dreszczy rozkiełznanej krwiożęrczości, drzemiącej bodaj w każdym człowieku. Stąd —

<sup>1)</sup> „La Tia fingida”, znaleziona dopiero w roku 1814-tym, nie znajduje się w każdym zbiorze „Nowel przykładowych”. Nie obejmuje jej również przekład Zdzisława Milnera, wydany w zbiorze „Muzy” b. d. nakładem S. Orgelbranda w Warszawie. Wyrażono bowiem powątpiewanie o autentyczności tej noweli. Lecz słusznie powiada Fitzmaurice-Kelly: któż, jeżeli nie Cervantes, mógł ją napisać? Por. tegoż autora „Historia de la Literatura Española”, przełożył Adolfo Bonilla y San Martín, Madryt, b. d. wydanie siódme str. 320. — Wspomniane powyżej słowa licencjata Vidriery z „Nowel przykładowych” podane są według przekładu Z. Milnera. Jednakowoż w ostatnim zdaniu zmieniłem „religje tego świata” na „zakony”.

mutatis mutandis — jest św. Teresa, o sercu przebitym przez Anioła złotą strzałą najognistszej miłości bożej, zarazem kobietą na wskroś z ziemią zrosłą, praktyczną, dzielnią organizatorką życia klasztornego. Stąd nie zasklepia się wogóle cała mistyka hiszpańska jeno w kontemplacji, w samym rozkoszowaniu się własną szczęśliwością. Rozrywa ciasne obręcze egotystyczne i rwie się do czynów, z myślą o duchowym dobru bliźniego. Łączy w sobie Lię i Rachelę, Martę i Marię. A z dbałości o duszę bliźniego wykwita jej znajomość duszy ludzkiej wogóle. Psychognostyczna wnikiwość uczy ją cenić indywidualność i osobowość ludzką. Dzięki temu nie popada w panteizm, ku któremu ciąży z natury rzeczy każda mistyka. Wolną jest od Taulerów i Ruysbroecków — jak stwierdza szczegółowej Menéndez y Pelayo („De la Poesía mística en España“ Madryt 1881.)

Z tychże samych powodów dopełniają się Kiszot i Sanczo doskonale i nieodzownie, Wprawdzie istotne cechy obu są właściwe całej ludzkości. I słusznie powiedziano:

Don Quijote y Sancho Panza  
Compendian la humanidad.

Lecz zazwyczaj zwalczają się wzajemnie: idealny świat Kiszota kłóci się z realnym światem Sanczy. W duszy hiszpańskiej, w duszy Cervantesa zaś mamy doskonałą coincidentiam oppositorum. Cervantes potrzebował być rzucić jeno własną indywidualność na ekran swej wyobraźni, by wyrazić tem samem indywidualność swego narodu. Rozszczepiając samego siebie na dwa te odrębne typy, stał się twórcą międzynarodowym, czyli zawsze i wszędzie zrozumiałym. Zaś komponując w dziele swem Kiszota i Sanczę jako dwie części jednej i tej samej całości, dopełniające się nieodzownie, tak że jednego nie można w gruncie rzeczy wcale pomyśleć bez drugiego — stał się twórcą nawskroś narodowym.

Nietylko czysto zewnątrznie występują obaj niemal ustawicznie razem: już samemi rozmowami swemi wypełniają większą część książki. W gruncie rzeczy nabierają czyny jednego właściwego sensu dopiero na tle czynów drugiego. W licznych chwilach, np. szturmując wiatraki lub poczytując karczmy za pałace, byłby Kiszot prostym warjatem — gdyby wówczas nie odzywała się owa druga strona, czyli ostrzegawczy głos Sanczy, że to wiatraki i karczmy, a nie olbrzymy i pałace. Wykonując zaś jednak dziwne swe zamierzenia mimo tego ostrzegawczego głosu, jest on jeno komicznym lub tragicznym lub wreszcie tragicomicznym — jak jest nim, zależnie od okoliczności, każdy człowiek, wprowadzający w czyn swe idealne zamysły, choć zdrowy rozum mu mówi, że nie mogą się powieść żadną miarą. Również

Sanczo, sam jako taki, nie byłby zbyt ciekawy. Przedstawiałby jeno typ przeciętnego, dość sprytnego filistrą, całkiem pochłoniętego zaspakajaniem niewybrednych swych potrzeb. Bodaj znalazłby się kiedykolwiek książę, powierzający mu rządy wyspy — choćby dla żartu. Nie byłoby to ani ciekawe, ani nie byłoby w tem zgola żadnego żartu. Na tle Kiszota zaś może być i jest Sanczo gubernatorem nawet doskonałym, wywołującym nieklamany podziw u swych „poddanych“. Odblaski ideałów-dogmatów Kiszota są dość silne, by opromienić aureolą nieprzeciętnych faktów państwowych czyny gubernatorskie całkiem przeciętnego „zdrowego chłopskiego rozumu“, dbalego ustawicznie, by się czasem nie wysilił zbytnio, raczej by wykorzystać wszystko przyjemne, co chwila nastęcza.

Wszystko to ozlaca nadto nieoceniony, subtelny a wieloznaczny uśmiech Cervantesa. Nietylko żyje w Cervantesie, jak w każdym Hiszpanie, zgodnie obok siebie kawał mistyka i kawał bandyty, wyraższy się trywialnie i radykalnie — nadto mieści się w nim jeszcze satyryk. Bynajmniej nie karykaturzysta. Zbyt głęboko kocha człowieka, zbyt silnie wierzy w niego, by go bezlitośnie zniekształcać. Stąd nie są ani Kiszot ani Sanczo karykaturami, mimo dość silnych pozorów niekiedy. Do Sanczy można się bardzo przywiązać. Kiszota pokochuje się wprost. Czyżby to było możliwe, gdyby to były postacie jeno wyszydzone i szyderstwo budzące? Niewątpliwie mają obydwaj w sobie dość dużo śmieszności. Lecz gdzie początek i gdzie koniec tej śmieszności — oznaczyć dokładnie wprost niepodobno. Można się tam śmiać z wszystkiego, a można się nie śmiać wcale. Z przedziwnem mistrzostwem utrzymał tu Cervantes linie graniczne w stanie ustawicznie zmien-  
nym, płynnym.

Kiszot nie jest śmiesznym w zasadzie, gdy słowem i czynem zaświadcza swe dogmaty: honoru, króla i wiary. Także nie, gdy wznawia szczytne hasła dawnego rycerstwa. Ani nie, gdy pięknem własnej duszy opromienia wszystko wokół. Śmiesznym natomiast jest ten sam Kiszot w tych samych chwilach, gdy szczytną swą duchową treść ujmuje w szczególne formy, gdy na początku 17-go wieku stroi się w zbroję, lancę i tarczę, gdy niesie pomoc wdowom, sierotom i wszelakim uciśnionym, którzy takiej pomocy od żadnego błędnego rycerza ani nie wyczekują, ani nie pragną. Śmiesznym jest, gdy, zaślepiony miłością do błędnego rycerstwa, bierze za dobrą monetę wszelkie niedorzeczności ku chwale rycerstwa wymyślone. Również, gdy potrzeba fikcji, zbawcza i ożywcza jako taka, zmienia mu dziewczę stajenną z Toboso na księżniczkę Dulcyneę, woniejącą wszelakimi zapachami Arabji.



W takich chwilach śmieje się Cervantes niewątpliwie z Kiszota, śmieje się nawet całkiem beztrosnie. Lecz w śmiechu tym nie trudno dosłyszeć głębokiego współczucia z nim. Zapewne także uśmiech błąkał się po jego ustach, gdy widział, jak własne życie zamieniało mu najszczytniejsze zamierzenia na „niedorzeczności“, jak „zbawcze fikcje“ okazywały się niczem więcej jak właśnie tylko fikcjami.

Wieloznaczny uśmiech Cervantesa był w każdym razie zakwasem całego dzieła. Z niego wyrósł mu pomysł napisania satyry na nędzne ówczesne powieści rycerskie. Lecz nie na to, by je wogóle wytepić, jeno by je poprawić. Toć — jak wspominaliśmy już — taki Amadis de Gaula budzi szczery jego zachwyt. Dopiero nieudolni naśladowcy pobudzają go do zaczepki. Satyra, pragnąca zło naprawić, musiała pośrednio wskazywać wzór rycerza i powieści rycerskiej. Dla tego jest Kiszot, obok całej śmieszności, ideałem rycerza, wyposażonym całym pięknem rycerskiej duszy Cervantesa. Innymi słowy: w miarę pisania przekształca się Cervantesowi pierwotna satyra literacka w obraz własnej duszy. Cały ten proces rozrastania się i pogłębiania się Kiszota dostrzec i śledzić nie trudno. Kiszot, z początku mocno „pomylony“ ustawicznym czytaniem niedorzecznych ksiąg rycerskich, staje się coraz rozsądniejszym. Zakres jego rozważań i dociekań zatacza coraz szersze kręgi. Powoli porusza bodaj wszystkie sprawy literackie, społeczne, narodowe i ogólnoludzkie, zaprzatające umysły ówczesnych szerszych kół hiszpańskich. Im dalej rozwija się akcja, tym więcej podziwu budzi Kiszot u otoczenia, zasługując teraz prawdziwie na miano *el ingenioso caballero de la Mancha*, mimo całej swej locura w sprawach błędnego rycerstwa.

Tak samo rozwija się postać Sanczo Pansy. Z początku jest to sobie chłopiek nieco przebiegły, nieco głupkowaty, a przedewszystkiem chciwy, jak każdy chłopiek. Z chciwości, olśniony obiecany zyskiem, towarzyszy Kiszotowi. Lecz powoli wyrasta na drugą stronę, na dopełnienie jego duszy. I pod tym kątem widzenia staje się coraz lepszym, coraz subtelniejszym. Nawet gdy poczyna wreszcie wątpić, czy otrzyma obiecaną wyspę, nie opuszcza Kiszota — mimo że przemawia zatem chciwość, stanowiąca jedną z głównych sprężyn każdego „zdrowego chłopkiego rozumu“. To jest — powiada — moje przeznaczenie i moje nieszczęście, bo jestem przedewszystkiem wierny. Nie może już się obyć bez Kiszota. Również Kiszot nie może już istnieć bez niego, i z głębokim rozrzewnieniem zwie go: *Sancho bueno, Sancho discreto, Sancho cristiano y Sancho sincero*. Powoli, stopniowo uświadamia sobie Cer-

vantes, że dopiero Kiszot i Sanczo razem tworzą jego duszę.

Zywoć i myśli Kiszota i Sanczy rozgrywają się na tle ówczesnego wielce bujnego życia Hiszpanji. Jak w starbarwnym kalejdoskopie przewijają się tam wszelkie warstwy społeczne, od wyrzutków wszelakiego rodzaju począwszy, po przez chłopów, mieszczan, magnatów aż do książąt o krwi królewskiej. Nie brak tam kupców, uczonych, artystów, księży i żołnierzy. Nie mniej co walki i hasła literackie, poznajemy wady i zalety sądownictwa i bezpieczeństwa publicznego. Widzimy wspaniałe blaski potęgi i kultury, lecz także już pierwsze oznaki poczynającego się rozkładu — znamiona, charakteryzujące przejście od XVI-go do XVII-go wieku. Toć w roku 1571 odniosła Hiszpanja zwycięstwo nad Turkami. Zwycięską była nadto w Francji, Włoszech i Holandji, nawet bliską monarchji uniwersalnej. Jednak w roku 1592 stwierdzają Kortezy, że jest bieda, że kraj bez obrony, a morza pełne rozbójników. Gdy w roku 1596 flota angielska ląduje w Kadyksie, rozlega się po stronie hiszpańskiej tylko jeden jedyny strzał armatni, bo lafety są zgniłe, kule za duże lub za małe. Świetne wojska hiszpańskie znajdują się w Medjolanie, Neapolu i Flandrji, lecz nie w ojczyźnie — jak szczegółowo opisuje to wszystko J. M. Asensio w wspomnianej pracy. Dwór królewski jest pełen intrygantów, nepotyzm przydusza rzeczywiste zasługi, cnota zamienia się w hipokryzję. Złoto, płynące wciąż jeszcze szeroką strugą z olbrzymich posiadłości amerykańskich, staje się wszechwładnym, daje zaszczyty, tytuły, urzędy i godności.

Cervantes, żyjący w tym okresie przejściowym, otwarza z tym samym instynktowym obiektywizmem znamiona świetności, mijającej właśnie, co rozkładu, już rozpoczętego. Tak więc literacka ta satyra, będąca najpierw jako taka celem, staje się powoli okazją, z powodu której powstaje także żywe i barwne malowidło ówczesnego stanu socjalnego Hiszpanji.<sup>1)</sup>

(C. D. N.)

<sup>1)</sup> Szczególny nacisk na tę stronę Kiszota kładą np. Julio Puyol y Alonso w „*Estado social que refleja el Quijote*“ Madryt 1905 i przedewszystkiem Alfred Morel-Fatio w „*Le Don Quichotte envisagé comme peinture et critique de la société espagnole du XVI.<sup>e</sup> et du XVII.<sup>e</sup> siècle*“, studjum pomieszczonem w tomie zbiorowym „*Études sur l'Espagne*“ serja pierwsza, wydanie drugie, Paryż 1895. Morel-Fatio widzi w Kiszocie w pierwszym rzędzie le grand roman social de l'Espagne du commencement du XVII.<sup>e</sup> siècle, où tout ce qui marque cette époque, sentiments, passions, préjugés, moeurs et institutions, a fini pour trouver sa place.

## NOCNE OGNI E



idnokrąg, jak dwie stykające się olbrzymie czarne plamy z niebem martwym ramiony się splótszy, schował sę, śpi, nie istnieje. Łeb siwy konia kolebie się w niewidocznym klusie, domysleć się trzeba że to łeb. Jazda w czeluść bez woli, bez świadomości. Z boku, z jamy jakiej wychyli się chochoł i krzyknie na strach: hu! — łeb siwy schyli się w lęku na stronę, wydłuży się i dalej się kolebie.

Nagle otwiera się ogromne Nocy oko na jedno drgnienie chwili i znów opada. Wzrok był błędny, wylupiasty, płomieni i krwi pełen.

Dalej — hen — za górami mrugać poczynają strachy-upiorzyska. Północ

być musi. Mruganie coraz częstsze, wyraźniejsze. Noc z Wojną się pobratała Światu na pohybel. Pod ziemią mruczą przeciągle wielkie zwierzęta, dwóch siostr służalce.

Już i górne chochliki rozbudziły się, rechoczą gardlanie, kłocą się, chichoczą w wielkich skokach.

Jadę wprost w czeluść. Upiory i chochliki jak dobremu znajomemu wybiegają mi naprzeciw. Nie upiory — legendarne smoki; nie chochliki — straszdyła bez oczu, z gardłami wulkanów.

Dobroczynny jakiś duch nadludzkim ruchem zdarł ciemność z ziemi oblicza i jasność jak dzień — krwawsza jeno — rozlała się po świecie. Trzy, pięć, dziesięć sekund — zgasła — nie! rozpała się na nowo — drga — potężnieje — gaśnie — krwawi się! Jak wychylona nagle z czeluści przejrzysta smolna pochodnia — ślepi oczy — wciska się żarem w płuca, choć daleka.

I gaśnie — — —

Upiory mrugają, już nie zwierzęta wielkie mruczą, smoki i lewjatany ryczą z pełnych gardzieli, szczekają płucami Cerberów — — —

Widocznie?

Co „widocznie”? Kto mówi?

Ktoś nad uchem moim jakieś zdanie powiedział. Co powiedział?

„Widocznie zapaliła się składnica amunicji — i setki pocisków wyleciały w powietrze“ — —

Tak powiedział. Ale po co to mówił?

Toż ja rzekłem:

Dobroczynny duch zdarł ciemność z ziemi oblicza i jasność jak dzień rozlał po świecie.

Toż ja wiedziałem:

Składnica — co stać się miała składnicą setek trupów — setki pocisków, co stu matkom serce miały wyrwać z piersi — — taniec swój zatańczyły przedwcześnie —

Teraz leżą, jak pył leży na skrzydle utrudzonego gołębia — zmęczone, ciche, niewinne, z wylamanymi zębami żmije:

Na pohybel Wojnie.

## M S Z A

Dokoła barokowej bryły konfesjonuła tłoczą się szare mundury, na obarczonych dusz hyzopem pokropienie przed śmiercią.

Witraże tania próżno słońce przefiltrować usiłują na półmrok nastroju modlitewnego.

Uśmiechają się niemądre aniołki, klocki świętych sterczą niezdarnie, wiję się wstęga jaskrawa z krzykliwym „Saint Vaast, notre Patron priez pour nous“.

Zadudniło od basów głosowych i organnych, zadygotała pieśń surowa, zimna.

Zazłocił się u ołtarza ornat. Misterjów rozpoczęcie.

Jako u nas... jako u nas...

Hej! Nie myśl ty o kraju, nie wspominaj onego „u nas“. Rozmyślaj o Tej, co tam za świątyni progiem zacaiła się cicho, ostrożnie się zacaiła... Ona ci teraz kumą, ona przyszłością. Zaczajona czeka — aż z wychodzących wybierze sobie najmilszych i za kark ułapi czule, radośnie, z i m n o ...

Nie jesteż ci ona wybawicielką najmilejszą?

Słuchaj oto kazania. Nie rozumiesz? To ksiądz tam mówi o Bogu, ojczyźnie, Ewangelji, o śmierci za króla i o Pannie Przenajświętszej. O miłości i o nienawiści. Słuchaj, młody wojaku — uważaj — zrozumiesz i ty —

Natężyło się powagą młode czoło. Oczu nie widać. Patrzą w duszę. I wraz sępią się w twarzy gęste bruzdy — wyciskają potu kroplę maleńką. Zimny pot, lodowaty — a bardziej od płynnego kruszcu parzy.

Pole, miękką lata ręką ugłaskane. Czerwiec-olbrzym niósł wiadro potężne czerwonej farby i nie-uważnie — krew-li czy maki? — szeroko porozlewał na polu.

Głowa bolesna się pochyliła. Tłoczą jej skronie ze stron obu dwa chłodne granaty, ściskają głowę tępych nożyc błyskiem. A wewnątrz swych głuchem bulgotaniem wpychają się w mózg gorącej żądzы szeptem:

Luby...! Pójdź z nami... pohulasz... potańczysz... spijesz się... a potem się wyśpisz — wyśpisz — d o b r z e wyśpisz... luby...!

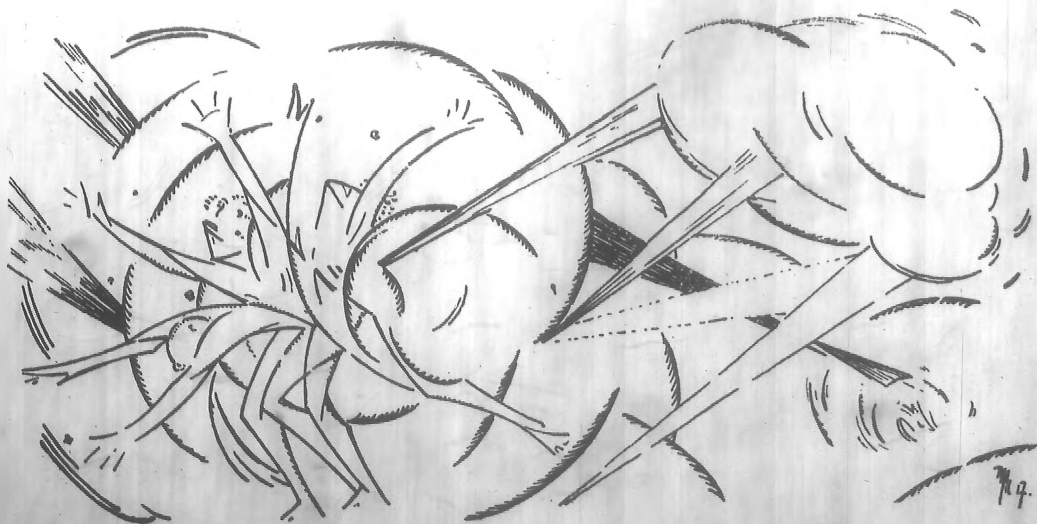
Urwały. Dzwonek.

Nad złotem ornatu zawisła Hostji biel i na te głowy Spokój idzie. I na tę głowę jedną — tę głowę umęczoną, której długi cierz w czoło wbił się stalowym klinem.

Dusz tych krwawe zmagania, serc onych rozdarcia zwały się cicho, zgodnie — w jedną za władce ziemskiego modlitwę wspólną i za oręża zwycięstwo.

W polu, 1. lipca 1918.

OLWID.



Rysunek — Władysław Skotarczak.

EDGAR ALLAN POE.

## WŁOŚĆ ARNHEIMSKA

(DOK.)

W dalszym ciągu rozmowy mój przyjaciel przytoczył kilka ustępów z rozprawy o ogrodach pejzażowych, opracowanej przez cenionego w tej dziedzinie pisarza:

„Istnieją właściwie tylko dwa style ogrodnictwa pejzażowego: styl naturalny i styl sztuczny. Pierwszy dąży do zachowania swoistego piękna miejscowości, przystosowując swe środki do okolicznej widowni; hodując drzewa, co dostrajają się do sąsiednich wzgórz lub płaszczyzn; odkrywając i wprowadzając w czyn owe uroczyste zespoły barw, stosunków i wymiarów, co kryją się przed okiem pospolitego widza, lecz nie uchodzą haczości doświadczonemu znawcy przyrody. Wyniki naturalnego w ogrodnictwie stylu przejawiają się raczej w usuwaniu wszelkich niewłaściwości i usterek, w przestrzeganiu zdrowej harmonji i ładności — niż w stwarzaniu jakichś osobliwych cudów i dziwów. Styl sztuczny posiada tyle odmian, ile różnych upodobań domaga się zaspokojenia. Pozostaje on w niejkiej zależności od różnych stylów architektonicznych. Znane są aleje i ustronia wersalskie, terasy włoskie jakoteż różnorodny, urozmaicony, starodawny styl angielski, zależny poniekąd od gotyku swojskiego oraz od angielskiego budownictwa z epoki elżbietańskiej. Bez względu na wykroczenia sztucznego ogrodnictwa pejzażowego, niepodobna zaprzeczyć, iż domieszka czystej sztuki w urządzeniu ogrodu przyczynia się znamienicie do podniesienia jego piękna. Polega ono po części na rozkoszy, jakiej doznaje oko, widząc wszędzie ład i celowość, po części zaś na czynnikach psychicznych. Terasa ze starożytną, omszoną balustradą przywodzi niezwłocznie na myśl wdzięczne postacie, co przechadzały się tam niegdyś. Najpodrzedniejszy przejaw sztuki jest dowodem pieczy i zamilowania ludzkiego“.

— Z tego, co już powiedziałem — odezwał się Ellison — domyśli się pan zapewne, iż nie zgadzam się z wyrażonym tu poglądem, jakoby należało wyczarowywać swoiste piękno miejscowości. Piękno swoiste nigdy nie dorównywa temu, które można wytworzyć. Oczywiście, iż wszystko zależy od wyboru odpowiedniego miejsca. To, co tam powiedziano o „odkrywaniu i wprowadzaniu w czyn uroczystych zespołów barw, stosunków i wymiarów“, jest tylko gmatwaną słów, pokrywających niecisłość myśli. Przytoczony zwrot może mieć takie lub owakie znaczenie i nie prowadzi do niczego. Pogląd, iż „właściwe wyniki naturalnego w ogrodnictwie

stylu przejawiają się raczej w usuwaniu wszelkich niewłaściwości i usterek niż w stwarzaniu jakichś osobliwych cudów i dziwów“ — pozostaje w sprzeczności z ognistymi marzeniami ludzi głębszych i schlebiam płaskim mniemaniom tłumu. Jestto wychwalanie zasługi negatywnej, nie ustępujące w niczem owej kulawej krytyce, co chciałaby w literaturze otoczyć Addison'a blaskiem chwały. W rzeczywistości moc ducha, co zasada się tylko na wystrzeganiu się błędów, przemawia bezpośrednio do rozumu i dlatego pozwala się ująć w prawidłó, natomiast szczytniejsze moce duchowe, rozplomienione w działaniu twórczem, dają się poznać jeno po swych wynikach. Prawidło stosuje się wyłącznie do zalet przeczących, do przymiotów powściągniętych. Pozatem sztuka krytyczna ma tylko znaczenie doradcze. Można kogoś pouczyć, jak kleci się dramaty w rodzaju *Katona*, lecz niepodobna mu wyjaśnić, w jaki sposób powstał pomysł *Partenonu* lub *Inferna*. Kiedy wszakże rzecz się dokona, kiedy cud się spełni, zdolność rozumienia udziela się wszystkim. Sofisci ze szkoły negatywnej, co w poczuciu swej niemocy twórczej ujadali na twórczość, przedzierzgają odrazu w najgłośniejszych jej chwalców. To, co w zalążkowym okresie zasady urażało ich sławetnemu rozsądkowi, z chwilą kiedy dojrzej do doskonałości, zniewala zawsze do uwielbienia ich poczucie piękna.

Poglądy autora na styl sztuczny — mówił dalej Ellison — mniej podlegają zarzutom. „Domieszka czystej sztuki w urządzeniu ogrodu przyczynia się znamienicie do podniesienia jego piękna“. To prawda; prawdziwa jest również uwaga o zamilowaniu ludziem. Zasada w niej zawarta jest niewzruszona — wszelako dałoby się pomyśleć coś wyższego od niej. W związku z tą zasadą mógłby istnieć czynnik — czynnik, niemożliwy do osiągnięcia za pomocą środków, jakimi zazwyczaj rozporządzają jednostki; gdyby jednakże dało się go osiągnąć, otoczyłby on ogród pejzażowy czarem, jakim żadną miarą jedynie ludzkie zamilowanie wyposażyc go nie może. Poeta, rozporządzający niepowszednimi zasobami pieniężnymi, nie odstępując od niezbędnej idei sztuki, czy kultury, czy też, jak nasz autor się wyraża, zamilowania, — mógłby swe zamierzenia przepoić do tego stopnia ogromem i nowością piękna, iż odnosiłoby się wrażenie współludziału potęg niezmysłowych. Okazałoby się, iż osiągając te wyniki, przestrzegalby dodatkich stron celowości i korzyści, a równocześnie wywalałby swe dzieło z oschłości i rzemieślniczości przyziemnej sztuki. W najdzikszych ustroniach, w najpustynniejszych krajobrazach dziewiczej przyrody przejawia się sztuka jakoś twórcy, wszelako ta sztuka przemawia tylko do intelektu, zbywa zaś jej na przemiennej sile uczucia. Przypuśćmy, że ten przejaw

zamierzeń Wszchemogącego dozna obniżenia o jeden stopień, że niejako dostroi się i przystosuje do przejawów ludzkiej sztuki, tworząc formę przejściową; wyobraźmy sobie naprzykład krajobraz, którego ogrom, zespolony z ograniczonością — którego łączna piękność, wspaniałość i nie z wytkość będą nosiły zamię zapobiegliwości, kultury i opieki istot górniejszych, lecz pokrewnych człowieczeństwu: wówczas czynnik upodobania pozostanie bez zmiany, a współdziałal sztuki będzie wywoływał wrażenie przyrody pośredniej czyli drugorzędnej — przyrody, co nie jest bóstwem, ani też przejawem boskości, ale jest jakby tworem aniołów, unoszących się między człowiekiem a Bogiem“.

W szczodrości, z jaką poświęcał swe nieprzebrane skarby na urzeczywistnienie tego rodzaju wizyj; w ruchu na wolnym powietrzu, gdyż zamierzenia jego wymagały osobistego nadzoru; w zmienności celów, do których te zamierzenia zdążyły; w szczytnym przeduchowaniu tych celów; we wyrzuceniu się ambicji, dzięki czemu mógł je tem szczerzej odczuwać; we wiekuiących źródłach, co z nich trykały, pojąc, lecz bynajmniej nie zaspokajając przewodniej namiętności jego duszy, którą było pragnienie piękna; zaś przedewszystkiem w niekobiecej już miłości kobiety, której wdzięk i kochanie owiewały jego życie purpurowem tchnieniem raju — zdawało się Ellison'owi, że osiągnie, i osiągnął istotnie wyzwolenie z powszednich trosk człowieczeństwa wraz z takim zasobem istotnego szczęścia, jakie nie pała nawet w rozpromienionych zachwytem snach na jawie pani De Staël.

Wyznając z przykrością, iż nie zdołam zobrazować dokładniej cudów, których udało się dokonać mojemu przyjacielowi. Chciałbym je opisać, lecz przeraża mnie trudność opisu, a przytem waham się między szczegółami a całością. Snadź będzie najlepiej zestawieć je ze sobą w krańcowych ich przejawach.

Pierwszem zadaniem Mr. Ellison'a był oczywiście wybór miejscowości. Kiedy jał zastanawiać się nad nin, przyszła mu zrazu na myśl rozpajająca przyroda wysp na Oceanie Spokojnym. Jakoż wybierał się w podróż po morzach południowych, lecz po całonocnym namyśle zaniechał tego zamiaru. „Miejscowość taka — oświadczył — dogadzałaby mi, gdybym był mizantropem. Najzupelniejsza jej głuza i odosobnienie, trudność dojazdu i wyjazdu stanowiłyby wówczas czar nad czarami; ale nie jestem jeszcze Tymonem. Pragnę skupienia, a nie przygnębienia samotności. Chcę, by poniekąd zależał odemnie zakres i trwanie moich wywczasów. Przyjdzie czas, iż niejednokrotnie będę żądny sympatji umysłów poe-

tyckich dla podjętego dzieła. Wolę przeto wybrać miejsce opodal jakiegoś ludnego miasta, którego sąsiedztwo ułatwi mi ponadto wykonanie mych zamiarów“.

W poszukiwaniu stosownego i tak położonego miejsca Ellison spędził kilka lat na podróżach, ja zaś dotrzymywałem mu towarzystwa. Tysiące miejsc, dla mnie zachwycających, odrzucał bez wahania dla powodów, co do których wkońcu nie mogłem nie przyznać mu słuszności. Znaleźliśmy wreszcie wyniosły płaskowyż niezmiernie żyzny i nadzwyczaj piękny, skąd roztaczał się widok niemniej rozległy niż z Etny, lecz posiadający tyle istotnych czynników malowniczości, iż przyznaliśmy mu obaj pierwszeństwo przed słynnym z tej góry widokiem.

— Rozumiem — rzekł do mnie podróżny z westchnieniem głębokiej rozkoszy, gdy po długim rozglądaniu się nasycił wreszcie zachwycone swe oczy — pojmuję, iż w moich warunkach ogromna większość najsubtelniejszych umysłów uczułyby się tu zadowoloną. Ten widok jest naprawdę wzniosły i upajałby mnie przedewszystkiem nadmiarem swej wzniosłości. Wiadomo mi oddawna, iż wszyscy budowniczo dbali o rozległe widoki, powodują się swym smakiem i stawiają budynki na szczytach wzgórz. Lecz błędzą oczywiście. Majestatyczność we wszystkich swych przejawach, a zwłaszcza w przejawie widnokreślności wprawia w osłupienie, podnieca — poczem przygnębia i nuży. Jeśli chodzi o wrażenie przemijające, niemasz nic nad nią; ale na stałe znieść jej niepodobna. Dla człowieka, co ma ją ciągle przed oczyma, najjemniejszą stroną stanowi oddal. Pozostają one w sprzeczności z poczuciem i zmysłem odosobnienia — z tem właśnie poczuciem, któremu staramy się dogodzić, gdy „usuwamy się na wieś“. Patrząc ze szczytu góry, doznajemy nieodwrotnie wrażenia, jakgdybyśmy znajdowali się poza światem. Kto ma śmierć w sercu, ten unika rozległych widoków jak zarazy“.

Dopiero pod koniec czwartego roku poszukiwań znaleźliśmy miejscowość, która podobala się Ellisonowi. Zbyteczną byłoby rzeczą nadmieniac, gdzie ona leży. Niedawny zgon mojego przyjaciela ułatwił niektórym turystom dostęp do jego włości i otoczył Arnheim tajemnym, czolobitnym, jeśli nie uroczystym podziwem, podobnym wprawdzie, acz nieskończenie wyższym od tego, z którego przez długie czasy sływał Fonthill.

Zwykłą drogę do Arnheimu stanowiła rzeka. Podróżny wyjeżdżał z miasta wczesnym rankiem. Przez całe przedpołudnie przesuwaly mu się przed oczyma wybrzeża, tchnące spokojnem, zacisznem piękniem, na których pasły się niezliczone stada owiec,

co białą swego runa nakrapiały świeżą zielen otworzystych łąk. Wrażenie pól uprawnych przeobrażało się zwolna we wrażenie pastwisk. To zaś roztapiało się nieznacznie w poczuciu osamotnienia i zamieniało się wkońcu w przeświadczenie o pustkowiu. Pod wieczór łożysko poczynalo się zwęzać; coraz stromiej piętrzyły się brzegi, pokryte bujniejszym, szczodrzejszym i posepniejszym listowiem. Przezrystość wody wzmaciała się. Strumień wił się tak kręto, iż świetlista jego wstęga urywała się z każdym niemal stajaniem. Zdawało się co chwila, iż statek więźnie w jakimś zakłętym kole, otoczonym ścianami nieprzebitych i nieprzejrzanych gąszczy, o stropie, utkanym ze szafirowego atlasu, ale bez posadzki — i że dziób jego pochyla się z cudownym wdziękiem ku dziobowi jakiejś widziadlanej łodzi, co wywrócona dnem do góry, płynie, nieodłączna od rzeczywistego statku i utrzymuje go na powierzchni. Następnie łożysko przeobrażało się w gardziel — jakkolwiek to określenie niezbyt jest na swoim miejscu i używam go jedynie dlatego, iż język nie posiada słowa, któreby lepiej oddawało najbardziej uderzającą, nie zaś najbardziej znamienne rys tego krajobrazu. Charakter gardzeli zaznaczał się tylko we wyniosłości i równoległości zboczy, natomiast gubił się w innych szczegółach. Ściany rozpadliny (przez którą czysty strumień spokojnie toczył dalej swe wody) wznosiły się do wysokości stu, a gdzieśniedzie nawet stu pięćdziesięciu stóp i tak bardzo nachylały się ku sobie, iż nie wpuszczały niemal dziennego światła, zaś długi, pierzasty mech, co gęstemi kępami zwiślał od góry ze splełanych zarośli, napelniał cały wąwóz widmowym mrokiem. Zakręty następowały po sobie coraz częściej, wily się coraz dziwniej i zdawało się, iż nawracały wstecz, przez co podróżny tracił najzupełniej poczucie kierunku. Ponadto otaczał go najprzedziwniejszy urok niezwykłości. Idea przyrody istniała jeszcze, lecz jakgdyby zmieniona i przeobrażona, bowiem w tych jej działach przejawiał się jakiś tajemny umiar, jakaś niepokojąca jednostajność, jakaś czarodziejska osobliwość. Nie widniała nigdzie ani jedna zeschnięta gałązka — ani jeden zwiędły liść — ani jeden zbłąkany kamyk — ani jedna plama brunatnej ziemi. Krysztalowa fala toczyła się bądźto po wyglądzonym granicie, bądźże po niepokalanym mchach, znacząc się ostrą linią, co zrywała a przez to przykuwa oczy.

W ten sposób błędziło się przez kilka godzin w labiryncie owego łożyska wśród coraz bardziej gęstniejących mroków, gdy statek ostrym i nagłym zwrotem jak strącony z księżycą, wpadał w kolistą sadzawkę, dość znacznych rozmiarów w porównaniu z gardzielą. Miała ona około dwustu łokci średnicy i ze wszystkich stron prócz tej, co znajdowała się naprzeciw płynącego statku, była otoczona wzgórzami,

nieniszczymi naogół od ścian wąwozu, lecz o zupełnie odmiennym wyglądzie. Nachylenie ich zboczy do zwierciadła wody wynosiło około 45 stopni, zaś zbocza te od podnóży do szczytu były zasłane bez żadnej przerwy kobiercem najczarowniejszego kwiecica; wśród tego wonnego i mieniającego się barwiście morza zaledwie tu i owdzie prz. zierał zielony listek. Sadzawka ta miała znaczną głębokość, ale woda w niej była tak przejrzysta, iż dno, które tworzyła gruba warstwa drobnego, krągłego, alabastrowego żwiru, było niekiedy najzupełniej widoczne, mianowicie wówczas, gdy oko mogło zdobyć się na to, by nie patrzeć na odbicie kwiatów pobrzeżnych w odwróconem zwierciadle błękitów. Na okolicznych wzgórzach nie rosły drzewa ni większe krzewy. Widz odnosił wrażenie bujności, żaru, barwistości, zacisżności, jednostajności, błogości, miękkości, wytworności, lubości jakoteż udoskonalonej do najwyższego stopnia kultury, co skłaniała go do marzeń o jakiejś nowej rasie czarodziejek skrętnych, zapobiegliwych, wytwornych i dostojnych. Kiedy zaś spojrzenie błędziło po rozświetczonym bezlikiem barw zboczu od jego podnóża, co odrzynało się ostro od przezroczy wodnej, aż hen, po gubiące się gdzieś w obłokach grzbiety, niepodobna było oprzeć się przewidzeniu, iż z otchłani niebieskiej stacza się oto bez szmeru jakaś widnokrzna katarakta rubinów, szafirów i pozłocistych onyksów.

Podróżny, wydostawszy się z ciemni wąwozu do tej zatoki, był zachwycony, lecz i zdumiony, widząc okrągły krąg chylącego się słońca, o którym sądził, że już znikło za widnokrzem, a które ukazywało mu się, tworząc jedyną rubież innego, bezgranicznego widoku, rozciągającego się poprzez drugą, przepaścistą, wśród wzgórz szczylinę. Tutaj opuszczał on statek, na którym płynął dotychczas, i przesiadał się do lekkiego czółna z kości słoniowej, co zarówno zewnątrz jak wewnątrz jarzyło się czerwienią wzorzystych arabesk. Prząd i tył tej łodzi swymi ostro zakończonymi dziobami unosiły się wysoko nad powierzchnią wody, tak że z kształtu przypominała ona jakgdyby sierp księżycy. Z dumnym wdziękiem łabędzia kołysała się w zatoce. Na jej wysłanem grono-stajami dnie znajdowało się lekkie jak pióro wiosło z drogowennego drzewa, ale nigdzie nie było widać wioslarza ni przewoźnika. Gość winien być dobrej myśli i ufać, że nim zaopiekują się — losy. Duży statek znika, on zaś pozostaje sam w czółnie, co spoczywa na pozór nieruchomo pośrodku jeziora. Rozmyślając nad tem, jaki obrać kierunek, doznaje wrażenia, iż czarodziejska łódź zlekka się porusza. Okręca się zwolna dokoła siebie i zwraca się dziobem ku słońcu. Płynie wolno, lecz z coraz wzrastającą chyżością, a zbudzone przez nią fale muskają jej

wyciosane z kości słoniowej żebra i zdają się rozbrzmiewać jakąś niezmierną melodią — gdyż inaczej nie można wytłómaczyć sobie pieśniwej, acz smętnej muzyki, co dźwięczy dokoła ku osłupieniu podróznego, napróżno starającego się dociec, skąd ta gędzba bierze początek.

Czołno wciąż posuwa się naprzód i skaliste wrotta, stanowiące obramienie owego widoku, są już tak blisko, iż można rozejrzeć się dokładniej w ich wnętrzu. Na prawo wznosi się łańcuch wyniosłych wzgórz, pokrytych bujnym, dzikim borem. Mimo to w tych miejscach, gdzie zbryzaje zanurza się pod wodę, wciąż jeszcze przeważa rys najdoskonalszej czystości. Nie widać tam ani śladu różnego rodzaju szczątków, jakie zazwyczaj zalegają pobrzeża rzeczne. Po lewej stronie charakter krajobrazu jest łagodniejszy i zaznacza się w nim widoczniej współdziałanie sztuki. Brzeg spiętrza się zwolna lekkiem wzniesieniem, tworząc rozległy trawnik, podobny z wejrzenia do aksamitu, a tak zielony, iż świetnością barwy nie ustępuje wcale najczystszy szmaragd. Stok ten zależnie od miejsca roztacza się na powierzchni od dziesięciu do trzechset łokci i sięga od brzegu rzeki aż do ściany, wysokiej na pięćdziesiąt stóp, co powyginana w tysiące krzywizn, bieży mniejwięcej wzdłuż rzeki i gubi się wreszcie na zachodnim niebie. Ściana ta jest z litej skały i powstała w ten sposób, że skzesano pionowo najeżony ongi wiszarami południowy brzeg rzeki, zacierając wszakże jak najstarannie ślady tej pracy. Ściosane głązy mają barwę wieków, a osłaniają i ocieniają je szczerde bluszcze, wiciokrzewy, polne róże i powojniki. Monotonji górnych i dolnych linii ściennych zapobiegają w zupełności olbrzymie drzewa, rozrzucone pojedynczo lub kępami bądźto wzdłuż płaskowyzu bądźżeż po drugiej stronie ściany, lecz w bezpośrednim jej sąsiedztwie, tak że konary (zwłaszcza orzecha włoskiego) wychylają się z poza niej i nurzają się swymi końcami w wodzie. Wzrok nie sięga dalej wgląd włości, gdyż zatrzymuje się na nieprzeniknionej zasłonie listowia.

Wszystko to przesuwają się przed oczyma w miarę jak czołno zbliża się do miejsca, które nazwałem wrotami tej drogi wodnej. Podpłynawszy bliżej, przekonywamy się, iż złudnem było wrażenie ich przepaściowości. Na lewo widnieje nowy wylot zatoki i ukazuje się również ściana skalna, podążająca z biegiem strumienia. Atoli przez ten wylot nie dociera oko

zbyt daleko, gdyż strumień wraz z krawędzią ściennej skręca coraz bardziej na lewo i przepada wnet w gąszczach.

Mimo to łódź wnika czarodziejsko w zakręty jego łożyska i dopiero tam okazuje się, że brzeg, położony naprzeciw ściany, jest podobny do brzegu, co rozciągał się również nawprost ścian, obrzeżających z jednej strony znane już, prostolinijne koryto. Widownię zacieśniają wciąż wyniosłe grzbiety, pokryte dziko bujającą, wspaniałą roślinnością i spiętrzące się gdziegdzie do rozmiarów gór.

Podróżny, płynąc dalej niezbyt śpiesznie, lecz ze wzmagającą się zwolna chęcią, po kilku nagłych zakrętach dostrzega, iż dalszą drogę zapiera mu olbrzymia brama, czyli raczej dźwierz z polerowanego złota, misternie rzeźbione i cyzelowane, a tak świetnie odstrzeliwujące promienie zachodzącego już słońca, iż zda się, jakgdyby okoliczne gaje były uwieńczone płomieniami. Brama ta jest osadzona w wysokim murze, co na pozór pod kątem prostym przecina w tym miejscu rzekę. Jednakże po pewnym czasie spostrzega się, że główne jej łożysko wciąż jeszcze podąża na lewo, zataczając wielką, lecz łagodną krzywiznę pospolu z obrzeżającym je murem, zaś potężny strumień, stanowiący jej ramię, słodko szmerząc, przepływa pod bramą i niknie z oczu. Czołno skręca do węższego łożyska i zbliża się do owych dźwierzy. Zwolna i rytmicznie rozchylają się ogromne wieżeje. Łódź mija je i zeslizguje się szybko wdół, ku wielkiemu zakolu, zamkniętemu ze wszech stron przyobleczonemu w purpurę górami, których podnóża oplukuje wszędzie świetlista pętla rzeki. W tej chwili cały raj Arnheimski ukazuje się przed oczyma. Rozlegają się dźwięki czarodziejskiej muzyki; dziwnie słodkie wonie upajają zmysły; niby zjawy senne widnieją wysokie, smukłe drzewa, przywiezione ze wschodu, krzaczaste zarośla, stada złocistego i czerwonego ptactwa, obrzeżone liliami stawy, całe pola fijołków, tulipanów, maków, hiacyntów i tuberoz oraz długie, splecione wstęgi srebrnych ruczajów, zaś śród tego wszystkiego majaczą niewyraźnie kształty napoły gotyckiej, a napoły saraceńskiej architektury, co zda się cudem unosić w powietrzu, jarząc się setkami swych wież, minaretów i krużganków w różowej poświacie zachodu niby jakiś widziadłany twór zjednoczonych sylfów, gnomów, genjuszów i czarodziejek.

PRZEŁOŻYŁ STANISŁAW WYRZYKOWSKI.

## WYSPIAŃSKI-ŚWIATOWID.

EWA ŁUSKINA.

## III. SŁOWO.

Tęcza wodę pije. Zblakłe barwy nasycają się, silniej prężą się świetne łuki, napinane między ziemią a niebem, niepokalanej świeci jej czar. Synowie tęczy, artyści, podobną mają naturę. Aby jaśnieć wszystkimi kolorami i rwać oczy — trzeba im raz po raz pić z tajemnego źródła.

Jest on źródło wody żywej. Ktokolwiek wziął na swe barki idee, czy to będzie zhora Baudelaire'a czy krzyż Chrystusów, pod którego ciężarem trzykrotnie upada po drodze, może tam zacerpnąć ochłody. Spieczonemi wargami może spijać duże, kryształowe, zimne krople, sączące się po mchach zielonych i puszystych, chłoniąc usta świeżość lodową, chłód płynny — i rzeźwić wyschlą pierś, aż nowe siły weń wstąpią.

Jest on źródło piękna samego w sobie. I jest ono piękno, które nie budzi żadnej myśli, żadnej refleksji, żadnego uczucia, bo to wszystko ginie w niepokonanym, wewnętrznym dreszczu rozkoszy.

Piękno nie jest identyczne ze sztuką, której państwo jest większe i szersze, a pono granic wcale nie ma, — (jeżeli wierzyć, że świat jest artystycznym twórcy czynem) ale jest tej sztuki rajem utraconym i ziemią obiecaną. Kto na krawędzi życia i snu się ważąc, mocen przerzucać nań złote mosty, komu dano poić się u źródła, nie pyta więcej, jako pieśni światotwórczej podola. Wie, że czas przyjdzie.

Tymczasem odpoczywa — chwilę, tylko chwilę. Według Norwida „od-począć“ znaczy „począć od nowa“. Więc z gliny figurki drobne lepi, ni to Tanagry posażki, w kropli rosy wszechświat dostrzega, z ubogiego krzemienia iskry krzesze, ludzkie, arcy-ludzkie, przed oczyma stawia — i patrzcie: to jest piękno.

Takim oderwaniem się chwilowem od nieustającego poczucia swej misji zbawicielskiej, karzącej, piastunnej, zatajeniem wewnętrznej światłości w tem trwaniu, słupem płomiennym na czele narodu, błakającego się po pustyni, — są u Wyspiańskiego te utwory, które z historjofacją nie mają nic wspólnego, ale za to obnażają głąb ludzkich serc.

Pomijamy nieco sztywne i szematyczne, chłodne i koturnowe, neo-greckie mity i rapsody, jak „Meleager“ i „Achilleis“, — by zatrzymać się dłużej przed malowidłem, które z pod pyłu wieków wyziera ku nam żywe i barwne, jak przecudowny fresk aleksandryjski.

Tylko wielki malarz ciał i dusz wyczarować mógł te plastyczne aż do jaskrawości sceny, tonujące się w naszych oczach w złoty półmrok, w laurową ciemność nocy, w lotną mgłę, w falującą grę burchych chmur, w niewymowną grozę zaświata i elizejską, księżycową, ukojną pełń...

„Byłeś mi jak ten dzień i płomień  
ja w twych ramionach byłam róża  
czemuż się wprędce dzień zachmurza  
czemuż Amorów zgasa płomień?”

— — — — —  
Tys mnie stracony na zawsze.“

Słyszymy skargę osieroconej kochanki-żony, która „miłość swą widziała pogardzoną — dla pustej hymnów chwały“ i widzimy ją samą, siedzącą na brzegu łożnicy, przyodzianą w strój pasowy, płócienny, bezpośrednio przylegający do ciała, z warkoczami we czworo wiązaniemi i w sandałach opasywanych wysoko na koturnach drewnianych, — żywą i gibką jak nieśmiertelna bogini.

„i oto żywa, oto młodzieńcza  
żywot powolnem gnie konaniem —“

Żona wierna. Nikogo już nie może oczekiwać, a smutna jest i tęskna, jak te, które oczekują. Pieśniarz wędrowny, jak co dnia, śpiewa przed nią sławę bohatera, by sobie na wieczorną strawę zasłużyć. A jest ci dzisiaj zalotnik przebrany. Rapsod rycerski — kończy namiętnym zwrotem, miłosnem wezwaniem. Królowa wstała, „zwraca głowę ku niemu, przypatruje mu się ciekawie, badawczo, ze zdziwieniem, wstrętem, pogardą“, — zalotnik zmieszany odchodzi. Żadne słowo nie padło. Ale to dla kobiety dosyć, aby ją ostrzec — przed sobą samą. Albo życie i życia prawa zwycięskie — albo...



Zna swych siepaczy, swe katy zna cierpliwie! Jest Namiętność, wyległa ze wspomnień pieszczot upojnych, przyczajona w krwi jej młodej -- i jest Nuda, którą otchłań ziewa, by z obłądną monotonią powtarzała każdy jej gest -- bezcelowy...

Im ujęś! Częściowo schron jedyny znajduje w objęciach Snu:

„... Sen, Sen... mój świat --  
mój lepszy świat...“

Ale oto i sen ją zdradza. Przywołuje zmorę i jej orszak widziadeł. Ukazuje jej małżonka i unaocznia jego zgubę. Do szalu ludzi i maga jej tęsknotę. Sprawia, że budzi się w bezsile i zastyga w bezruchu.

Aż z nadmiaru nędzy wstaje zimne postanowienie. Uczyni wielki Czar. „Chcę tajemne struny trącać -- i tajemne śpiewy śpiewać... porzucona, pogardzona --“

Pękły wrzęcia zaświata. Syn Maji, który czerń nocy tnie węzownicą straszliwie splecioną -- jawi się, jako milczący znak obietnicy. Ta niema scena jest arcymową posagowego gestu i mimiki.

Poczem Laodamia przechodzi ze zadumy uśmiechnionej w radość żywą, wesele duszy. Każę mieć dom, łożę.

„Na czarny granit płyt  
deszcz róż, deszcz róż, deszcz woni...  
Eros! Eros!“

A oto spełnienie: Noc zapadła, mglista, księżycowa. Zaslona biała się rozsuwa na całą szerokość komnaty., Widać portyk kolumnowy, gaj cyprysów, pośrodku grobowiec bohatera, biała stela, o drzwiach z brązu.

Od progu pałacowego podnosi się Starzec, guślarz oczekujący. „Wzywałeś mnie najmilsza -- bym przyszedł. -- Otom jest, dziecię drogie, królowo, niewolnik twój i piastun, w twojej ojczyźnie dalekiej stąd“. W tych kilku słowach maluje się przedziwny stosunek onych dwojga, stojących na krańcach bytu -- i tak od nas nieskończenie dalekich.

Pełni się obrzęd straszliwy, na żertwę zbiega się, cisnie tłum dusz -- ale Jedynego nie masz między nimi.

„Daremno dusza duszy wzywa  
węzeł tajemnic strasznych zrywa  
nie pomna kar --  
o nieszczęśliwa, ja nieszczęśliwa.“

Guślarz odchodzi. Laodamia oparta o grobowiec -- we łzach, duszą wybiegła do wrót Erebu kołata.

„Niechaj że będę ja potępiona  
w skargach i łkaniach ostawiona  
a dusza droga mnie i kochana  
niech chwilę zajdzie ku mnie wołana  
zaklęciem wyzwolona“.

Powoli milkną w niej łzy i łkanie, groza nią owłada... struchlała, rozgląda się ledwie półruchami, jaka chociaż zapadła dokoła, i jak mgła nocna zaszła. Po przez mgłę świeci księżyc na cały ogród.

Grobowiec się otwiera ciemną jamą.

Hermes, który „ubiegł Noc i zmógł stróżę Hadu“, wychodzi wiodąc Protesilasa „upragnionego ku niej pragnącej“ i oddaje dłoń jego w rękę Laodamiji. Znika.

I w tej oto chwili żywej kobiecie objawia się -- Ironja.

Jej mąż, sercem i krwią umiłowany, jest oto przy niej, z nią -- i niema go. Te same rysy drogie, ten sam pancerz, szyszak -- jak go żegnała, bohatera swego...

„Wracasz z wojny...  
powracasz do mnie“.

Stęskniona, uścisków żadna, osuwa mu się w objęcia, wije w pragnieniu rozkoszy, omdlewa.

„O kochaj, o, miłuj, obejmuj, pieść, tul...  
jakże długo samotna byłam, o, jakże długo...“

Głucho oddźwięka pancierz rycerza — —

„Serce we mnie ustaje...  
żali twe serce bije?  
Serce twoje milczy!“

Chyli się nad nią mara marmurowa i chłodna, błada i milcząca. Obejmuje ramieniem, do ust usta przybliża... Co to?

„Pocałowałam twoje usta chłodne  
— — — — —  
dusza się moja w pocałunku gubi  
spojona z twoją duszą.“

Świat się przemienił — larwa spadła.

„jestem teraz ta, któram nie znała wprzód:  
— Wstąpiłam we Wieczność.  
Czas dla mnie się skończył  
a zaszłam w jawność wieczystą  
— — — — —  
a ty ze mną, przy mnie, mój jedyny!“

Ironia czuwa. Nie przebrzmiał dźwięk słów, cień się zagubia — kobieta równemi ramiony obejmuje — próżnie. Krzyk! — zbiegają się służki. Ręce w powietrznej mdleją fali... bolesna, chyli głowę... pot zimny zrosił czoło i róże gasną z lic.

„Serce, jak gołąb zlekły drży  
w błędne wstąpiłam złudzeń koło...“

Drżąca, spotniała, jak zaszczute zwierzę — nie wie, jak sobie radę dać. Zrywa ozdoby lśniące, węże z brązu i djadem z kryształu — ciężą! palą! Targa przewiązki węzłowe — drażnią!

„Łoźnica moja pusta —  
— — — — —  
Litość wy miejcie nademną!“

I pełni się litość — ale nie ludzka.

Patrzącej, ku morzu „mgła szaty w strój rosy obrzuca — Notus chłód wionie od fal... Kogo wygładasz? Kogo zgadujesz?“

Jak posąg stoi cicha. Zna gła krzyk: „Charon! Charona łódź! Stój starcze! Pojmij mnie z sobą!“  
Laodamia prostuje się, odwraca, wrasta w posępnej dumie. Jednym gestem uwalnia się z wieńca rąk, błagalnych i trwożnych. Jest panią, — wzięła górę nad Ironją życia.

„Los ze mną igra  
Sen i Czar  
i mną się ludzką bawi.

— — — — —  
Śmierć mnie jedyna!“

Nad ciałem królowej, z nożem w sercu, skupiają się domownicy, przejęci grozą.

I nikt nie widzi, że „w głębi, ogrodem, idą dusze małżonków, w uścisku, w ujęciu, idą zwolna ku grobowcowi i znikają w ciemnej jamie, — brązowe drzwi steli zatraskują się za nimi.

Na loskot zamykających się drzwi grobowca, wszystkie głowy zwracają się nagle w stronę ogrodu.“

Tragedja bez akcji, rozegrana w jednej duszy kobiecej. Ożywa przed nami w geście jedna z płaskorzeźb grobowców greckich, opowieść o miłowaniu silniejszym niż śmierć — zostawia nas zadumanymi głęboko nad pięknem, które jako cień błękitny idzie za człowiekiem, własną mocą wstępującym w bogów koło.

FR. RAWITA GAWROŃSKI.

## TARAS SZEWCZENKO I POLACY

(C. D.)

Był to nastrój tej grupy społecznej, że tak powiem, świąteczny. Codzienne życie było przerażająco puste i smutne, poświęcone całkowicie bezgranicznemu próżnowaniu. W taką sferę wpadł Szevczenko po za domem i ogniskiem X. X. Repninów, u których salony były m. w. europejskie, ale za progiem tego salonu już było inne życie. Umiarkowanie, dystynkcja, trzymanie na wodzy słów i myśli, ciągła kontrola towarzyska samego siebie, były ciężarem, hamującym rubaszną naturę ludzi, których frak i biały krawat pokrywały koszulę smarowaną na codzień dziegciem i krępowały tę swobodę życia, jaką daje nieprzymuszonosc bujnych temperamentów. Tu panowały wódka, karty i przyjemności, zwykle towarzyski tego rodzaju swobody.

Szevczenko znalazł się, może mimowoli, może dzięki tylko temperamentowi swemu w takim właśnie otoczeniu. Wprawdzie, współczesny Szevczenko pamiętnikarz niby Rusin, ale także należący do tej grupy pół Rosjan, a pół Małorossów, o której mówiliśmy, nazywa tawarzystwo, do którego wpadł poeta „małym kółkiem“, ale niewątpliwie większość tamtejszego społeczeństwa takim samem była „wielkim kółem“. Szevczenkowe tawarzystwo nosiło oryginalny tytuł: Towarzystwa pijackiego.

Czuźbiński, który zostawił wspomnienia pobytu poety w Małorosji — tak powszechnie nazywano Połtawszczyznę i Czernihowszczyznę — nazwał je jeszcze bardziej cynicznie: tawarzystwem moczenia mordy.<sup>1)</sup> Samo istnienie takiego kółka jest niezmiernie symptomatycznym, tembardziej, że należeli do niego często ludzie rozumni, czysti, dobrego serca, którzy nie znajdując miejsca i ujścia dla sił swoich w społeczeństwie, potrzebującym tylko żołdata, urzędnika i chłopa, pracującego na obydwóch, zabijali czas, młode siły i zdolności oddając się systematycznemu próżnowaniu i pijaństwu.

Członkowie tego dziwnego związku nazywali sami siebie moczymordami, tych zaś, którzy się nie upijali suchomordami. Towarzystwo posiadało swoją oryginalną hierarchię: a więc — moczemordije, wysokomoczemordije, pjaniejszestwo i wysokopjaniejszestwo, zupełnie na wzór tytułów narodowych: błahorodije, wysokobłahorodije, prewoschoditel-

stwo i wysokoprewoschoditelstwo. Oprócz tytułów, a raczej stosownie do tytułów, tawarzystwo miało swoje ordery: siwałdaj na kłapie, kielich na szyi i wielki sztof przez piersi.<sup>1)</sup> Niedostępnego tego, — tawarzystwo miało zjazdy lub zebrań, gdzie się odbywały uroczystości na cześć Bachusa. W czasie tych zebrań basy huczały: rum, poncz, rum, poncz; tenory brzęczały: półpiwek, półpiwek, glintwein, glintwein, a dyszkanty wtórowali okrzykami: biała, czysta, słodka wódka! Wielki mistrz miał odpowiednią mowę, a potem dopiero rozpoczynała się pijatyka powszechna. Członkowie uważali wszystkie spirytualia równie godnemi do upicia się, ale prawdziwy „moczymorda“ dla utrzymania godności swego stowarzyszenia powinien był pić przeważnie rozmaite nalewki wódczane, prostą zaś gorzałkę tylko w ostateczności, a wtemczas dla uszlachetnienia jej, rzucano się do butelki najmniejszą srebrną monetę, zwaną „griwiennik“ czyli 10 kopiejek, a wówczas wódka przybierała już nazwę „griwiennikówka“.<sup>2)</sup>

W takiej sferze umysłowej i moralnej przebywał Szevczenko na Zadnieprzu długie miesiące nieraz. Wykluczyć należy z tej sfery dom Repnina, gdzie tego rodzaju wstrętnej pijatyki nie uprawiano i gdzie trzeba było utrzymywać się w granicach towarzyskiej grzeczności. Członkowie jednak stowarzyszenia moczymordów nagradzali sobie przymusową powściągliwość po opuszczeniu salonów księcia w oficynach i gościnnych pokojach.

Jakie natchnienia i jakie ideały mógł wynieść poeta z takiej sfery, poeta obdarzony przytem słabą wolą i niezdolnością do oporu? Dokąd, do jakiego świata myśli mógł uciec Szevczenko, aby malutki swój poziom wykształcenia, po za artystycznym, podnieść ku tym wyżynom ducha, na które się nieraz jego Muza poezji podnosiła? Gdzie mógł czerpać świeżość i czystość swoich myśli i natchnień? Jużci chyba nie w tawarzystwie „moczymordów“, gdzie mógł tylko swobodnie baraszkować i upijać się. A trzeba powiedzieć, że zwyczajem prostej chłopskiej natury ukraińskiego chłopa lubił gorzałkę i swawolę pijacką, chociaż pijakiem nie był.

Duch poety stał wtedy na rozdrozu. Niewątpliwie marzyły mu się laury poetyckie na rosyjskim Parnasie. Z tego też czasu pochodzi jego poemat p. t. Trizna.<sup>3)</sup> Nie ulega wątpliwości, że w owym

<sup>1)</sup> Nie wiem co by mogło oznaczać siwałdaj; niektórzy utrzymują że jest to gatunek najprostszej gorzałki; sztof — jest to rodzaj butelki czworokątnej, objętości m. w. jednego litra.

<sup>2)</sup> A. Czuźbiński: Wspomnienia o T. G. Szevczenku. Petersburg 1861, str. 8 i 9.

<sup>3)</sup> Uczta pogrzebowa. W pierwszy raz był drukowany p. t. Beztalannyj (nieszczęny, nieszczęśliwy).

<sup>1)</sup> Morda w języku rosyjskim oznacza dosłownie pysk, gęba, grzeźniej trochę — twarz. Było to zatem Towarzystwo moczenia gęby — oczywiście w gorzałce.

czasie (około r. 1843) Szewczenko, przebywając często w domu Repnina, kochał się nie bez ukrytej wzajemności, w córce księcia Barbarze. Jej też poświęcił *Triznę*. „Twój dobry Anioł — powiada — oświecił mnie swemi nieśmiertelnymi skrzydłami i cichą swoją harmonijną mową obudził marzenia o raj”.<sup>2)</sup> Ale i w dalszej nawet korespondencji między nimi nie padło słowo miłość, chociaż muzykę jego słycać było często. W tym jednym domu mógł znaleźć Szewczenko ucieczkę od towarzystwa „moczymordów” i podnieść dla swego ducha.

Gdy tylko był swobodny nieco, uciekał najchętniej do polskiej poezji i literatury, szukając tam, jakby dla samej sprzeczności z życiem otaczającym go, wypoczynku, umocnienia i podniety.

Z języków cudzoziemskich — pisze towarzysz współczesnego życia poety A. Czużbinskij — Szewczenko znał tylko język polski i wiele dzieł w tym języku przeczytał. Ja także wówczas zajmowałem się literaturą polską; miałem więc sporo polskich książek i pism. W złą pogodę Szewczenko często nie wstawał zupełnie z łóżka; leżał i czytał. On nie lubił Polaków — była to nieprawda jak się okaże później — ale do Mickiewicza czuł jakiś osobliwy pociąg. Znając Byrona z przekładów rosyjskich, Szewczenko czułem artystycznym odgadywał w nim wszechludzką siłę poetycką, ale przekłady Mickiewicza wprawiały go zawsze w entuzjazm, — szczególnie znane *Pożegnanie* z Czajld-Harolda. Przekład ten w niczem nie ustępuje oryginałowi i odznacza się melodyjnością i harmonją wiersza. Szewczenko często powtarzał strofę:

Sam jeden błędz po świecie szerokim  
I pędzę życie tulacze  
Czegoż mam płakać? Za kim i po kim?  
Kiedy nikt po mnie nie płacze.<sup>1)</sup>

Kilkakrotnie zabierał się on do przekładu lirycznych utworów Mickiewicza, ale nigdy nie kończył i rozrywał je na kawałki. Niektóre przekłady wypadły bardzo dobrze, ale gdy tylko coś wydawało się Szewczence nie dość melodyjnym, rwał na kawałki i wszystko niszczył.<sup>3)</sup> Miał nawet mówić do towarzysza: „sam los widocznie nie życzy sobie, abym polskie pieśni przekładał”.<sup>3)</sup>

<sup>1)</sup> Co do wpływu Mickiewicza na Szewczenkę mamy dwie broszury: *Oasp Tretiak Pro wpływ Mickiewicza*. Broszura małego zarówno treścią jak i objętością i nieszczególnym językiem pisana.

Dруга broszura *Kolesay: Pro wpływ Mickiewicza* — głębsza i obszerniejsza. Cytując z pamięci, może przeto tytuł nie jest zbyt dokładny.

<sup>3)</sup> Czużbinskij: *Wospominanija o T. G. Szewczenkie*. Str. 11 i 12.

## III.

Trzeci okres twórczości poetyckiej Szewczenka przypada na lata jego wygnania. Musimy jeszcze raz zaznaczyć, że nie piszemy biografji znakomitego poety ruskiego; musimy jedynie dotknąć tych linii stycznych jego życia, które mieć mogą związek z naszym tematem. Pragniemy dać czytelnikom szkic literacki, literacko-psychologiczny, poniekąd pragniemy wskazać punkty zwrotne w rozwoju talentu Szewczenki, aby wykazać, że wpływ polskiej kultury umysłowej i politycznej nie pozostał bez śladów w duszy tego poety, którego życie pełne jest tak niezwykłych przeżyć, że żadna wyobraźnia nie w stanie byłaby stworzyć nic podobnego. Wrodzona iskra boża genjuszu przełamała najcięższe zapory i wydobyla na wierzch wszystko co najpiękniejszego i najbrutalniejszego posiada dusza wieśniaka ruskiego. Ani biografja, ani krytyka utworów i talentu poety nie jest wcale moim zamiarem.

W czerwcu 1847 roku przez Orenburg wysłano Szewczenkę do Orska, lichego powiatowego miasteczka o dwóch do trzech tysięcy mieszkańców Tatarów, Kirgizów, Mordwy i trochę Moskali, gdzie wcielono go jako szeregowca do 5-go bataljonu 3-ej rot, linjowego Orenburskiego bataljonu. Ponieważ rząd rosyjski szykował ekspedycję nad morze Aralskie i pragnął mieć rysunki i pomiary, przeznaczył do tej ekspedycji Wernera jako inżyniera, i Szewczenkę jako rysownika. Ktoby to był ów Werner? Niewiemy. W ogóle powiedzieć należy, że pobyt Szewczenka na wygnaniu, a w szczególności o ile dotyczy do stosunku z Polakami, jest znany bardzo niedokładnie, a oceniany jeszcze gorzej. Może pamiętniki Polaków, którzy w owym czasie w bataljonach Orenburskich służyli, jeśli kiedy na jaw wyjdą, rozjaśnią i uplastycznią te chwile z życia poety.

W Orenburgu, po przybyciu Szewczenki, powitano on został nader życzliwie przez liczne grono Polaków, którzy już tam pokutowali za „marzenia” — jak mówiono — odbudowania ojczyzny. Byli tam Bronisław Zaleski, znany z wielu prac i procesu Kraszewskiego, Zygmunt Sierakowski, Sowa-Żeligowski, Florowski, Turno i w. in., którzy już powitali Szewczenkę, jako kolegę wspólnej niedoli, bądź po nim do Orenburga przybyli. Wyjątkowa ich inteligencja i wykształcenie, aureola męczeństwa za wolność, która zawsze dźwiękiem swoim magiczny wpływ wywiera na ludzi odczuwających niewolę, skupiły koło nich, po za plecami „naczelstwa” gromadki życzliwie usposobione dla wygnanców. Między nimi był Karol Gern, adjutant Obruczowa, wielki przyjaciel Polaków, który też samą przyjaźnią otoczył i nowego przybysza.

Po ukończonej ekspedycji Aralskiej, Szewczenko wrócił do Orenburga. Znalazł się tu w gronie życzli-

wych i oddanych sobie Polaków, którzy go powitali jakimś przyjęciem koleżeńskim, o którym, niestety, nie mamy szczegółów, jak w ogóle o współżyciu poety z Polakami. Zważywszy jednak przyjacielskie stosunki ich z Gernem, u którego zamieszkał Szewczenko, należy przypuszczać, że komunikowano się ze sobą często i życzliwie. Najlepszym chyba dowodem jest ułamek korespondencji z Sierakowskim, jaki do nas doszedł, i korespondencja Szewczenka z Bron. Zaleskim z późniejszego okresu, o którym później mówić nam wypadnie. Na życzliwe wzajemne stosunki Polaków z Szewczenką nie bez wpływu była i ta okoliczność, że Butakow, pragnąc użyć doli Zaleskiego, który był prostym żołnierzem w 2-gim batalionie, udał się do wyższej władzy, przedkładając, że Szewczenko sam nie podoła pracy rysunkowej i że należałoby dodać mu do pomocy Br. Zaleskiego, jako umiającego rysować. Życzeniu temu uczyniono zadość, co oczywiście zbliżyło do Szewczenki jeszcze bardziej całe liczne grono Polaków. Szewczenko pierwszy raz w życiu zetknął się z Polakami, których mógł śmiało uważać za najlepszych przedstawicieli polskiego ówczesnego społeczeństwa, za wyrazieli jego ideałów, pragnień, życzeń, pracy, a nawet marzeń. Pojęcia polityczne tej grupki, z którymi się zetknął i które poznał, pozwoliły mu widzieć duszę polską w zupełnie innym oświetleniu, niż to, w jakim go rysowała bądź historia pseudo Koniskiego, bądź jego własni „zemlaki“, wychowani na poglądach tej historii i bezustannem szerzeniu pogłosek, że Polacy są nieprzyjaciółmi Rusinów. Tu, cpuszczony prawie przez swoich, spotkał się z nadzwyczajną, a szczerą życzliwością Polaków. Nie było to bynajmniej współczucie tylko dla człowieka, spływającego jak oni „gorzki chleb wygnania“, ale zetknięcie się ideowe na gruncie politycznym. Wygnanie i towarzystwo wygnańców otworzyło Szewczenkę oczy na to, że Ruś i Polska mają wspólnego wroga, który dybie na zniszczenie jednej i drugiej. W znanych nam, i w ogóle ruskiej literaturze materiałach, odnoszących do epoki życia skazańców w Orenburgu, nie ma szczegółów żadnych o rozmowach i dyskusjach, wzajemnych, ale z tego bynajmniej nie wynika, aby ich nie było. O czym mogli mówić ze sobą ci, którzy dźwigali jednaki ciężar niewoli, których ręka carskich satrapów jednako gnębiła bez litości, których dławiał jednaki ucisk myśli i ducha? Rozmowy te znalazły odgłos przedewszystkiem w poezji Szewczenki. Okres jego pobytu na wygnaniu śmiało można nazwać trzecim okresem w rozwoju talentu i twórczości poety. Pod względem twórczym był to niewątpliwie upadek. Księżna Barbara Reprin, widząc się z Szewczenkiem w Petersburgu już po powrocie jego, słuszenie się wyraziła, że duch poetycki w nim wygasł, ale wzmocniła się

i uszlachetniła ideowa potęga talentu. Poznanie się i zbliżenie się z Polakami zrobiło przewrót w jego twórczości. W pierwszym okresie Szewczenko był wyłącznie artystą, w drugim parafrazował poglądy polityczne szkoły historycznej moskiewskiej, uważając Polaków za wrogów ruskiego plemienia. Niepostrzegając że Moskwa wskazując Rusi wroga w Polsce i Polakach, odwracała oczy inteligencji ruskiej od siebie i tem łatwiej moskwiciła. W obec strasznej rzeczywistości, dawne historyczne walki Rusi z Polską, nie tylko Kozaczyzna, ale nawet Hajdamaczyzna, wydawały się sporami domowemi, wybuchami instynktów społecznych i klasowych, ale bynajmniej nie niewolą ducha, najstraszniejszą ze wszystkich niewoli. Krótko mówiąc, Szewczenko, przez zetknięcie się z Polakami, poznał prawdziwych wrogów swego narodu, którzy, rozluźniając kajdany w krytycznych chwilach swego państwa, tem mocniej zacieśniają je gdy chwila ta minie. Trzeci i ostatni okres twórczości Szewczenka nie tylko zaznaczył się zbliżeniem do Polaków, ale nadał poezji jego głębszy połot ideowy, oznaczony humanizmem politycznym. Znikła z jego poezji nienawiść do Polaków, której dopatrywano się w Hajdamakach. Już nigdy nie napisał, jak w Tarasowej nocy:

Czerwonouju hadiukoju  
Nese Alta wisti,  
Szczeb letily kruki s pola  
Laszkwi - pankiw jisty.)

Przekonał się że „Laszki-panki“ nie ucisku Rusi pragną, ale wolności dla siebie i dla nich. Nie w Petersburgu u „zemlaków“, nie na Zadnieprzu w salonach Reprina lub w towarzystwie „moczymordów“ poznał ten świat wielkich idei, o zdobycie których długie wieki walczyła ludzkość. Tu może po raz pierwszy zrozumiał różnicę jaka istnieje między wolnością polityczną, a wolnością kozacką, bo prawdę powiedział, nie za walkę o wolność skazany został na dźwiganie karabinu moskiewskiego Szewczenko, ale za „karykaturę“ Cara i „niewdzięczność“ dla rodziny carskiej, która przyczyniła się do wykupienia go z niewoli pańszczyźnianej. Lepiej od swego otoczenia rozumiał on pustkę życia, jaka go dławiała beznadziejnie, a jednak wśród tej pustki i nicości moralnej żyć musiał. Nigdy już później nie wyrwał się z jego duszy słowa tak strasznej rozpacz i tak potężnie wypowiedziane, jak wtedy właśnie gdy żył

) Wydanie najnowsze poezji T. Szewczenka przez Iwana Frankę, we Lwowie 1908. T. I, str. 54. Dalsze cytaty będą tylko według tego wydania. Nie robię przekładów cytów na język polski, gdyż dla polskiego czytelnika jest to zbyt trudne. Różni się raczej sztucznie niż w rzeczywistości. Dzieli nas niekiedy tylko akcent i alfabet.

śród „swoich“ na Ukrainie. Charakteryzują one lepiej współczesne mu społeczeństwo ruskie niż długie opisy.

Mynajut' dni, mynajut' nocki,  
Mynaje lito, szelostyt'  
Pożowkle lystia, hasnut' oezi,  
Zasnuly dumy, serce spyt',  
I wse zasnulo. I ne znaju  
Czy ja żywu, czy dożywaju,  
Czy tak po świtu wołoczuś,  
Bo wże j ne placzu j ne śmijuś...

Serce poety, zdrętwiałe w tej nicości duchowej, w jakiej żyć musiał, sam los ślepy, owe starożytne fatum wyzywało do walki.

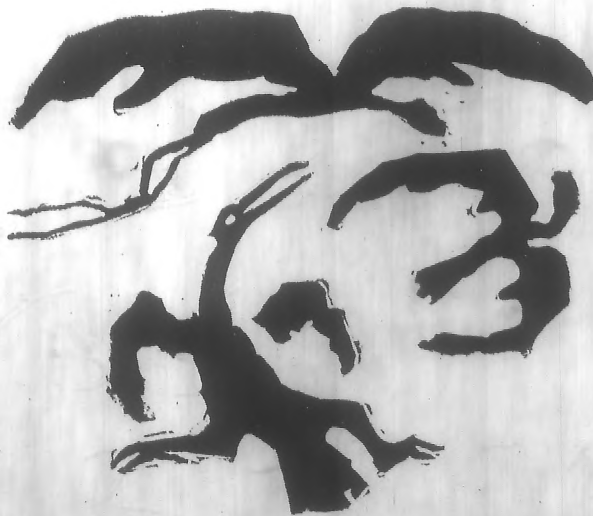
Dole, de ty? Dole, de ty?  
Nema nijakoi!  
Koly dobroj žal, Boże,  
To daj zloi, zloi!')

Wołanie to nie przeszło bez echa. Pobyt w Orsku, Orenburgu, nad morzem aralskim pozwolił mu odczuć w całej pełni „złą dolę“.

!) Wydanie I. Franka, t. I, 375.

Zaledwie miał czas Szewczenko żyć się z ludźmi w Orenburgu i drogą wyrozumiałości uzyskać dla siebie trochę ulgi, padł na niego nowy „donos“. Poeta był skazany na służbę w szeregach jako prosty żołnierz z dodatkiem, którego dzikość trudno zrozumieć: zabroniono mu malować i pisać. Był to wyrok jakiejś strasznej śmierci: po prostu przymusowe samobójstwo. Nic dziwnego, że Szewczenko bronił się: malował i pisał ukradkiem. Niepodobna było nie tolerować tego. Znalazł się jednak „wierny poddany“, prawdziwy „knut w ręku kata“, który doniósł władzy, że Szewczenko maluje i pisze. To wywołało zesłanie go do fortu Nowopetrowska. Zbudowano go na wschodnim wybrzeżu Kaspijskiego morza, aby powstrzymywać, jak mówiono, bunt i swawolę Kirgizów. A bunt były następstwem tego że Kirgizi, którzy w stepach mieli wolne koczowiska, nie chcieli poddać się Moskwie.

(C. D. N.)



Oryg. drewnoryt — Jerzy Hulawiec.

## MISCELLANEA.

**Stanisława Brzozowskiego: Módl się i pracuj.**

"Filozofja była najczęściej subtelną samoobudą duchową, sztuką nadawania swoim osobistym dążeniom, ideałom i wyrastającym z nich wierzeniom takich postaci, że wydawały się one wynikiem czy to religij, czy to przyrody, czy też — sztuka najwyższa — obydwóch razem". (Filozofja czynu. Idee. Str. 33.)

"Siła, która gromadzi argumenty i analizy, przemawiające na korzyść pewnej definicji, jest zawsze indywidualna żądza potęgi". (Ibid. str. 15.)

Przystępując do rozważania społecznych koncepcji Brzozowskiego, zaznaczyć muszę, że nie mam zamiaru wyczerpać wszystkich przez Brzozowskiego poruszonych zagadnień. Jedne z nich uważam za nazbyt osobiste, wkraczające w dziedzinę tragicznych przeżyć pisarza, inne — nie nadawały się zgola do krytycznego przemyślenia. Dziesięcioletni okres pracy filozoficzno-społecznej Brz. przyjąłem jako jedną konsekwentną całość; nie dałem się uwieść łatwym zresztą zarzutom, że Brz. zależnie od lektury i uwielbienia zmieniał swój światopogląd. Niewątpliwie działało się tak prawie zawsze. Ale nie w tem rzecz, że Brz. swój punkt widzenia zmieniał, lecz jak zdobywane przez siebie stanowiska uzasadniał. Wydaje mi się, że poprzez ten najróżnorodniejszy spłot pytań, odpowiedzi, oskarżeń i apostoł, rekryminacji i allokucji do czytelnika, poprzez tę gorączkową prawdziwie i dlatego tak patetycznie nastrojącą twórczość pisarza Brzozowskiego, przewija się jedna zasadnicza jego troska, myśl, niepokój: Jak siebie ocalić? Jak ocalić swoją psychikę, swoje ja, jak uspokoić najgłębsze instynkty i pragnienia domagające się urzeczywistnienia?

Cytat pomieszczony na wstępie tego rozdziału rzuca światło na te najgłębsze, ciemną zasłoną milczenia przesłonięte, nigdy osobicie nie nazwane, sprężyny tej twórczości. Brzozowski własne przebiegi i przeżycia duchowe, których nie śmiał, czy nie chciał uznać za własne, wyłaniał w postaci konkretnych mocy poza siebie i staczał z nimi walkę. Walkę prowadził namiętną i bezwzględna. Każdy dzień i każdy rok przynosił mu coraz to inne ogniwa i łańcuchy argumentacji i dowodzeń, aby przezwyciężyć najgłębszą swą istotę. Poczucie wewnętrznej niemocy i to co, nazwałbym brakiem zmysłu społecznego, starał się pokonać konstrukcją "heroicznej potęgi" i uzasadnieniem nakazu etycznego. Obcowanie z Brzozowskim doprowadza nas do niezłomnych stwierdzeń, że nie było w nim żadnego tła psychicznego dla narzuconych społeczeństwu norm i obrazów przyszłości. A chociaż prawdziwym jest zdanie Cohena, że od twórcy systemu etycznego nie możemy żądać, aby życiem własnym zaświadczył swą konstrukcję, podobnie jak trudno wymagać od pejzażyisty, by był równie pięknym, jak pejzaż przez niego skomponowany, — to jednak opinii tej do Brzozowskiego stosować nam nie wolno. Brzozowski chciał być w Polsce więcej czem niż twórcą problematów etycznych lub estetycznych; narzucić się pragnął naszej zbiorowości na przewodnika, na postępującego drogi wśród nocy, na wychowawcę i spowiednika sumień. Dlatego poza systemem żukofa musimy człowieka. Nie takiego, jakim go widzimy w Pamiętniku — lecz tego, który tkwi w każdym wypowiedzianym przez niego sądzie, określeniu, nazwaniu.

Brzozowski był w najgłębszej swej istocie naturą fanatyczną, krańcową, niesłychanie wyczuloną i pobudliwą; fanatyzm

jego wyrażał się zrazu w formach działalności społecznej, nieomal politycznej, następnie przybrał charakter kontemplacyjny, wyłącznie osobisty. Przełom dokonał się na tle tragicznego konfliktu i oskarżenia a miał znaczenie decydujące. Urodzony kaznodzieja i działacz ludowy, któremu nie podobna zaprzeczyć suggestywnej mocy, jaka cechowała surowych mnichów średniowiecza, skazany został tragicznym zbiegiem okoliczności na bezczynność i tulaćkę poza krajem. Aktywna wybujałość jego organizacji psychicznej szukać musiała z natury rzeczy ujścia w kontemplacji aktywności. Nie mogąc działać czynnie, z myśli swej pracę konkretną chciał wybudować. Buntował się przeciw życiu, które obeszło się z nim po macoszemu. Fizyczną swą i społeczną słabość, której w sobie nie uznawał i przed której stwierdzeniem w sobie samym uciekał, chciał drugim narzucić jako formę swej potęgi i nieprzewyciężenia. Kult dla pracy fizycznej i nacjonalistycznego podłoża zbiorowości z tych właśnie źródeł płynie. Wielki trud umysłowy, jaki wziął na siebie, był tylko samoobroną przed istotnością własnej psychiki. Nie była ta psychika tylko narzędziem recepcyjnym, rejestrującym fakta przychodzące ze wszystkich krańców kultury europejskiej; przedstawia ona formę aktywności, w której wszystko i wszyscy znajdują swoje uzasadnienie, jako sposób i drogą dla osobistych intelektualnych przeżyć pisarza. Ten wysiłek myślowy stanowił niejako kłepę bezpieczeństwa, zmniejszającą ciśnienie instynktów i namiętności demonicznej natury Brz. Praca intelektualna okazała się zwodniczym ratunkiem, nie starczyła na wytworzenie zadawalniającej budowy myślowej. Rozłożyła raczej na chemiczne pierwiastki i drobiny wszystkie wyniki i wysiłki europejskiej myśli. Samoobrona wynaturzała się w destrukcję otaczającego środowiska. Stąd prosta droga i jedyna do wiary i religii. W niej spodziewał się Brzozowski znaleźć taką niezłomną podstawę, która stojąc już poza przemianami, stwarza oparcie dla psychiki, zablakanej w gąszczu racjonalistycznego myślenia.

Wartykule tym zajmę się trzema najważniejszymi problematami poruszonymi przez Brzozowskiego. Jego stosunkiem do Marxa i Sorela, określeniem psychiki inteligentkiej oraz filozofją pracy. Zagadnienia te są centralnym spłotem problematów, koło których grupowały się inne; stanowią one niewątpliwie sprężyny ze sobą łańcuch, którego ogniwa w obecnym przełomie dziejowym i społecznym w nowy kształt się przetapiają. Analiza ich nie jest anachronizmem. Uważny czytelnik znajdzie w nich poza ujęciem postaci Brzozowskiego, problematy żywe, codziennego dnia i wysiłku. Wielka mistrzyni życia i pokoju, jaką jest każda z wycięska rewolucja i rozegrana wojna umożliwiają nam doświadczalnie nieomal sprawdzenie i zastosowanie wyników naszego myślenia. To pewna. Intelektualny wysiłek Brzozowskiego nie mógłby się ostać wobec tej konkretnej rewizji współczesności. Mierzony wypadkami ostatnich lat, wykazuje jaskrawo wszystkie swe niedomagania i zadziwiająca ponadżyciowość.

Brzozowski wystąpił do walki z determinizmem. Już wtedy wywalał otwarte wrota. Determinizm jest dla każdego myślącego Europejczyka, (nawet dla tego nieszczęśliwego polskiego postępowca, który w Brz. wzbudzał sadystyczne wprost instynkty) tylko jedną z wielu teorii naukowych, metodą badania, sposobem dotarcia nie do rzeczywistości zjawisk, lecz do ujęcia stosunku między nimi, klasyfikacją nierozwikłanej złożoności, która ma być metodycznie ogarnięta. Determinizm jako pojęcie metafizyczne jest absurdem. A absurd ten wytaczać przeciw socjalizmowi naukowemu — jak to czyni Brzozowski — jest niesłychanym ułatwianiem sobie roboty, jest zdobywaniem placówki, której nawet nie trzeba było opróżnić, gdyż była przez maroderów i popularyzatorów zajęta. Brzozowski był tak wyłącznie ego-

tycznym myślicielem, iż nie mógł reagować rzeczywiście na zjawiska stającego się wobec niego życia społecznego. Dla niego wystarczało, że Sorel, walcząc z Jaurèssem, pomawia go o holdowanie teorjom metafizycznego determinizmu. Ale walka Sorela była przedewszystkiem walką o żywą duszę robotnika, o wydobycie jej z korupcji atosunków polityczno-społecznych. Sorela przedziwzięcie nie miało w sobie nic ze „Wstępu do filozofii dojrzłości dziejowej”; rejestrowało fakta, analizowało, stwarzało przeciwwagę i oczyszczało atmosferę. A to już wiemy najlepiej, że na przerosł marxizmu w życiu socjalizmu francuskiego skarżyć się nigdy nie było można. Tam zawsze pokutowały i pokutują tradycje Wielkiej Rewolucji, Blanquistowskie, nawet Fouriera i Saint Simona. Sorelowi chodziło głównie o wykazanie, że walka polityczna nie jest jedyną drogą do wyzwolenia proletariatu, że w danych warunkach może być jedyną, którą nie należy kroczyć. Na tle społeczeństwa francuskiego wykazywał w tysiącznych odmianach, do jakich zamaskowań i wynaturzeń taka politykomanja proletariacka prowadzić może i musi. Ale z marxizmem nie walczył; przeciw jego *action directe*, jego teorii (ex post) sabotażu, to jakby skróty, pars pro toto, strejku generalnego, to jakby przygotowanie psychiczne, utrzymywanie walczącej armji proletariatu w tym stanie napięcia duchowego, jakie daje nastroj walki o ideały. Podobne problemy, w ten sam sposób uzasadniane, poruszał Proudhon w swej pracy: *La guerre et la paix*.

Na tej linii życia i myśli, Sorel, Proudhon i Marx wzajemnie się dopełniają, są ze sobą identyczny. Czem jest ów wielki przewrót społeczny, katastrofa, rewolucja, która zdaniem Marxa stać się ma przełomem i odrodzeniem? Czynem, konkretną pracą, wysiłkiem, twórczością. Żadne maszyny, żadne mechanizmy ani determinizmy, nie zastąpią tu wytężonej, świadomej, skupionej siły człowieczej. Ucieczka w determinizm jest pretekstem tych myślicieli, którzy nie podążyli za Marxem, tych ideologów drobnonieszczęskańskich, którzy chcieliby zmechanizować, rewolucjonizować w Marxizmie wszystko, co jest żywym i twórczym. Instynkty takie i zamierzenia istnieją; istnieją one wszędzie. Ale nie można ich uważać ani za specjalny przywilej klas inteligentkich ani za wyraz wstecznicstwa w ocenianiu pewnych zjawisk życiowych. Dla mnie oznaczają one tylko brak odwagi w przyznaniu się do własnej wartości i niemożność wzięcia na siebie odpowiedzialności. A na to niema sposobu. Do własnej wartości przynależać się lub nie przynależać — to kwestja indywidualnego wyrobienia. Odpowiedzialność jednak każdy wzięść na siebie musi; nie metafizyczną, o której Brz. tyle pięknych rzeczy opowiada, ale tę rzeczywistą, codzienną, życiową, pracowitą. Przed naszymi oczyma rozgrywa się największy, niezrozumiały dla nas dramat dziejowy: Wojna i Rewolucja. Czy znajdzie się jeden choćby z najbardziej zagorzałych marxistów (takich, jak ich Brzozowski ma na myśli) który powie, że rewolucja rosyjska była zdeterminowana, że musiała przyjść, teraz, taka nie inna, w takich, nie innych formach się objawić, a co najważniejsze, przebieg jej określić, wyniki jej przewidzieć? Nie ulega wątpliwości, że nawet najzagorzalsi determiniści Brz., dla których każde zjawisko określa się bez reszty sumą danych przyczyn i warunków, stają wobec rewolucji, jak się staje wobec żywiołu, wobec czegoś, co jest prawdziwe, rzeczywiste, już dla tego samego, że trwa, a nie dlatego, że jest tak, czy inaczej uwarunkowane. Tysiące najbardziej złożonych i skomplikowanych przyczyn można wymienić, rozklasyfikować, aby poznać takie lub inne motywy tych czy innych działań. Ale to już nie będzie poznawanie lecz określanie, nie będzie już rzeczywistość lecz konstrukcja, nie życie lecz klasyfikacja.

Brzozowski pomięszal w marxizmie życie z metodą. To co pozostanie wiecznym, niepospolitym genialnym czynem

Marxa, to nie jego intuicja życia, tak przez Brz. w chytry sposób zachwalana. Zasluga jego jest metoda badań, którą Sorel rozwinął i pogłębił. Intuicję życia mają, mieli i mieć będą wszyscy genialni twórcy, filozofowie, myśliciele, artyści, — wogóle wszyscy wykuwający nowe wartości. Intuicja ta nie jest ich zasługą tak jak geniusz i talent w swoich źródłach twórczych zasługą nie są. Intuicja rzeczywistości historycznej, tego życia, które się stało, minęło, którego nie ma, tej rzeczywistości, o której mówią nam skamielielny naszej mowy, naszych zwyczajów, obrzędów, — dotarcie do niej, osiągnięcie jej stanowi zasługę. Do tej drugiej niejako rzeczywistości, będącej fundamentem naszego codziennego życia docieramy, idąc śladami metody Marxa. Przynajmniej tak rzeczy stoją na razie. I głupstwem jest sądzić, że istnieje jakakolwiek intuicja, która mogłaby w nas obudzić możność współżycia z epokami czasów minionych. Współżyć możemy z tem, co już nie jest przeszłością a jeszcze przyszłością się nie stało. To są granice naszej intuicji; bardzo wąskie. Każde inne stanowisko jest zamaskowaniem poszukiwaniem i pragnieniem cudowności, szukaniem oblicza Boga, aby w jego odbiciu zobaczyć tajemnicze a odwieczne prawdy. Takie współżycie, o jakim rozpisyje się Brzozowski w swoich *Ideach* i recenzjach ma w sobie wszystkie cechy przeżycia religijnego, ekstatycznego, może być źródłem i sposobem dotarcia do jakichś prawd, ale, powiedzmy to odrazu, do prawd, które tak się mają do rzeczywistości, jak święte opętanie tańczącego derwisza, do opanowanej, świadomej woli współczesnego człowieka.

Brzozowski, jakby zachłysnął się świeżym, naturalnym powiewem życia jakie przynosi ze sobą obcowanie z myślami Sorela. Dla jego natury, patrzącej w życie poprzez pryzmat abstrakcji Heglowskiej, lub teoremów Avenariusza, zetknięcie się z taką umysłowością jak Sorel miało niewątpliwie znaczenie epokowe. Odrazu pokazało się, że aby żyć i tworzyć i myśleć rzeczywiście, należy tylko stapać po ziemi, szukać pod swą stopą twardego gruntu i umieć patrzeć w życie. Przeceniając nierzadko Sorela, Brzozowski stale i konsekwentnie go nie dociera, pomawiając go o takie zainteresowania, którym Sorel był obcym i wrogim. Metafizyczny rys Brzozowskiego, ta gorączkowa tęsknota docięgnięcia wszystkiego na linję zagadnień bytu (praca jest bytem, poznanie jest bytem, tworzenie jest bytem itp.), zostały w dziwny i dowolny sposób pomięszane z francuską konkretnością myślenia i celowością metody Sorela. A chociaż istnieje istotny związek łączący Sorela z Bergsonem, to związku tego doszukiwać się należy od tej strony, w której Bergson jest pragmatysta, a nie od strony jego metafizyki i filozofji intuicji. Sorela nie interesował nigdy zbytnio problemat intuicyjnego poznania. Środkowym zagadnieniem dla niego było, nie jak się rzeczywistość poznaje, lecz jak się ją stwarza, a drugiem, równorzędnem, — jakimi drogami dotrzeć można do odtwarzania rzeczywistości historycznej, minionej, zamkniętej. O ile o pierwszy problemat idzie, był Sorel wolontarystą, określał rezultat osiagany wspłecznie przez współczesnych sumą twórczego wysiłku jednostki i społeczeństwa. To był trud rzeczywisty i odpowiedzialność etyczna każdego wobec wszystkich, wszystkich wobec każdego. A do odtworzenia rzeczywistości historycznej używał — jak wspomnieliśmy — pogłębionej o doświadczenie walki metody marzowskiej.

EMIL BREITER.

(C. D. N.)



Różne potrawy z jadalnopiów  
Nie mniej są śpiewnych wierszy godne.  
Niż opis strojniś i dandyśów,  
Skandale ich i chamstwo modne.

Marchew, rzodkiewki i wędlna  
Wartość nie tylko mają w smaku:  
Opisze wiersz własności wina,  
Sodowej wody i koniaku.

Młodzi poeci, śmiało tedy!  
I miast tych „dal” i „żał” przesmytnych,  
Groźne opiszcie nam sekrety  
Wszystkich gruźliow waszych wstrętnych.

FEDOR SOŁUGUB.  
(tłum. Julian Tuwim.)

### ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

*Panu F. A. w R.* (O teatr polski w Poznaniu)  
Niemal od chwili powstania pisina naszego otrzymywaliśmy dość często zawezwania i przypomnienia, aby „Zdrój” zajął stanowisko wobec oplakanych stosunków w teatrze poznańskim. Uważaliśmy wszakże za wskazane zachować milczenie do czasu, aż teatr nasz, który pod wpływem wybuchu wojny teatrem być przestał, znów stanie wobec możliwości nabrania znamion poważnego przybytku sztuki.

Przez cztery lata mieliśmy teatr bez kierownika, bez reżysera i bez artystów-aktorów, teatr złożony z samych niemal statystów, wśród których jednostki utalentowane ginąć musiały w morzu popolitości. O takim teatrze mówić nie mieliśmy ochoty, póki nie było nadziei zmiany na lepsze.

Dziś, kiedy smutny stan rzeczy uważać możemy za miniony, oceniamy w całej pełni u aranzjerów owego pseudo-teatru zmysł zastosowania pewnej harmonji pod względem kierowniczych reżyserakich i wykonawczych wartości w stosunku do wyboru sztuk aceniczyh.

Niekiedy tylko popadano w błąd śmiałem wprowadzeniem na scenę utworów wartościowych; a wtedy śmiałość ta męciła się nie miłosiernie na wykonawcach.

W końcu harmonja zapanowała zupełna — dobór utworów sceniczyh odpowiadał najzupełniej wykonaniu. Publiczność napływała licznie. Nie było prawie wieczora, w którymby w gmachu teatru zmącił harmonję talent wielki albo widz, czy słuchacz o wybrednej kulturze.

Wszelako skończyła się sielanka, Wkrótce mieć będziemy znów teatr polski w Poznaniu. Póki go nie było i pod wpływem wytworzonych ogólnie warunków nie było możności teatru stworzyć — póty wszelki głos przeciw teatrowi uważaliśmy za uderzenie w próżnię.

Teatr nasz, który pod kierownictwem wielce zasłużonej, ofiarnej a w najwyższe artystyczne zasoby wyposażonej pary: Nyny Młodziejowkiej-Szczurkiewiczowej i Bolesława Szczurkiewicza — w latach przed wojną, po upadku z czasów Lelewicza, na znaczne wkroczył wyżyny artystyczne, aby pod wpływem wojny runąć w ostateczne niziny — wita oto ponownie znanych dobrze kierowników, którzy bez wątpienia mimo spiętrzonych trudności wzniosą wysoko twórcze słowo.

Skończyły się harce podkaszanej muzy, a wszystko przemawia za tem, że pp. Szczurkiewiczowie nie poprzestaną na tem, co stworzyli w Poznaniu przed kilku laty, ale zbrojni

w wielkie zdobycze sztuki scenicznej z czasów wojennego wygnania swego w Moskwie i Kijowie w myśl idei Stanisławskiego, teatr nasz rozwijać będą w kierunku najnowszym i o ile skromne nasze warunki zezwolą bez wahania nowe te idee w czyn wprowadzają.

Mieliśmy sposobność zapoznania się z rozległymi zamierzeniami dyrekcji obecnej i dlatego zapewnić możemy Pana, że z nastaniem nowego sezonu zaznają lubownicy sceny w teatrze naszym prawdziwej rozkoszy artystycznej, zwłaszcza zaś ci, którym dramat jest wewnętrzną potrzebą, nie zaś tylko rozrywką wśród szarości dnia powszedniego.

Czteroletnie bezkrólowie w teatrze naszym stwierdziło nieograniczone upodobanie publiczności naszej do lekkich, nie mówiących, nie obowiązujących widzów sceniczyh. Obecnie stajemy wobec pytania: zali w społeczeństwie znajdzie się dość poważna liczba miłośników istotnej sztuki scenicznej, zwłaszcza dramatycznej, aby stale wypełniała po brzegi nasz teatrzyk, jak to działo się ostatnio?

Bo jeśli porównamy środowisko nasze z środowiakami bez porównania kulturalniejszymi, gdzie n. p. dramat tej miary co „Traumspiel” Strindberga dzięki publiczności z paskarzy się rekrutującej przyjęty był z uśmiechem w Wiedniu, a największy twór obecnej doby „L'annonce faite à Marie” Claudel'a powszechnem ziewaniem, podczas gdy „Rose von Stambul”, farsę operetkową trzysta razy entuzjastycznie oklaskiwano a monstualny zlepek melodji Schuberta „Dreimäderlhaus” doczekać mógł się niealychanej ilości przedstawięń jubileuszowych na wszystkich scenach niemieckich!) — to obawy nasze aż nazbyt są uzasadnione. A przecież zgnębiona dusza nasza zbiorowa razej ku dramatowi, niż ku farsie skłaniać się powinna...

Najznakomitsze kierownictwo teatru nie zdola na stałe utrzymać sceny na wielkiej wyżynie bez współdziałania społeczeństwa. Wartość teatru, na którego murach (naśladowac Czechów) wypisaliśmy motto: „Naród sobie”, nie tylko od kierownictwa i teatralnego zespołu jest zależna, ale nie mniej od najwłaściowszej części tego narodu, który napis ów na gmachu teatru kazał przytwierdzić.

Niechaj tymczasem ogólne te uwagi Panu wystarczą. Sprawa teatru poznańskiego jest w oczach naszych jedną z najważniejszych spraw naszego społeczeństwa. Pilną też uwagę zwracamy na teatr nasz i wkrótce poświęcimy obszerniejsze łamy „Zdroju” przyszłości teatru i postaramy się wyjawić, czego w danych warunkach spodziewamy się od dyrekcji.

Jeżeli dotychczasowe lata wojenne budziły poważne obawy, to dziś już, po złożeniu teatru w niezawodne ręce obawy te są płonne, a rozkwit teatru i jego powodzenie zależeć będzie już tylko od społeczeństwa samego. Ono bowiem opowie się albo za sztuką poważną a głęboką, albo też za tandetą sceniczną, która na czas trwania obecnego kierownictwa jest wyłączone.

Kwestję opery i orkiestry omówimy na innym miejscu.

*Panu Fr. R. G. w W. (Galicja).* Pytanie: „Chodzą tu posłuchy, że „Ostoja” likwiduje swoje interesy i traktuje we Lwowie o przeniesieniu spółki. Czyżby się Poznań pozbywał tak pożytecznego i pięknego posterunku?”

Odpowiedź: Redakcja „Zdroju” stoi w najbliższej styczności z „Ostoją”. Dlatego zapewnić możemy Pana, iż wersja ta należy do tych przelicznych plotek balamutnych, które powstają w głowach osób „Ostoi” nieprzychylnych. Nie należy więc do tego przywiązywać jakiegokolwiek znaczenia.

## PISMA NADEŚLANE.

**Maski** — zeszyt 15. St. Wyspiański — *Witraż wawelski IX*. Romain Rolland — *Przyjazd* (z „*Jana Krzysztofa*“). Tad. Nalepiński — *Sztylet*. Kaz. Tetmajer — *Walka*. Gabr. d'Annunzio — *Z cyklu „Miasta milczenia”* (tłom. K. Bielańska). Wł. Orkan — *Listy ze wsi*. Lukianos z Samosaty — *Zeus wzięty na spytki* (tłom. M. Bogucki). Przegląd.

**Maski** — zeszyt 17. St. Wyspiański — *Witraż wawelski X*. Bron. Ostrowska — *Poezje*. Kaz. Tetmajer — *Walka*. Emil Verhaeren — *Mór* (przel. Br. Ostrowska). Wł. Orkan — *Listy ze wsi*. Humanista-Anonym — *Nowy Kandyd*. Przegląd.

**Maski** — zeszyt 18. El. Greco — *Św. Jan*. Leopold Staff — *Deszcz krwi i ognia*. *Dzieci otowiu*. Kaz. Tetmajer — *Walka*. Gabr. Henner — *Organom milczącym*. M. Wolka — *Na dnie zwierciadeł*. Edm. Zechener — *Twarda miłość*. Julian Tuwim — *Syna poclowego narodziny*. Pan. Wł. Orkan — *Porozumienie*. P. L. Garnier — *Z „Aforyzmów o miłości”*. Przegląd.

**Maski** — zeszyt 19. St. Wyspiański — *Z rysunków do „Legendy”*. Ludw. Eminowicz — *Pathétique*. Kaz. Tetmajer — *Walka*. Jerzy Olizar — *Nienawiść*. Romain Rolland — *Teatr*. Przegląd.

**Pro arte et studio** — zeszyt 12. Jan Lechoń — *Sejm*. St. Schayer — *Niesamowita literatura*. Edward Boye — *Przed zyciem*. Julian Tuwim — *Alkohol*. *Rewizja*. Zofia Hamplówna — *Prawda o bajce*. Aleks. Blok (przekł. J. Tuwima) — *Powieść*. *Poeta*. *Romancero*. Henryk Palmbach — *Na temat książki J. Tuwima*. Wł. Zawistowski — *Pod maską*. *Varia*. Tadeusz Zaborowski — *Konfederacja warszawska 1573*. Jan Wizel — *Złoto jako podstawa systemu pieniężnego podczas wojny i w przyszłości*. Kronika.

**Pro arte et studio** — zeszyt 13. Wł. Zawistowski — *Z cyklu „Warjacje muzyczne”*. St. Schayer — *Niesamowita literatura*. Zygmunt Karcki — *Upat*. *Marja Dołęga Szczepańska* — *Bursztyny*. Julian Tuwim — *Rzuty, spostrzeżenia i koncepcje*. Antonelli (przel. del Val) — *Eli, Eli lama sabbathani*. Wł. Zawistowski — *Świat książki*. *Pod maską*. Tadeusz Cieślowski — *Plastyka dwuwymiarowa*. *Varia*. M. J. G. — *Na nowych drogach. Z życia akademickiego*.

**Moderni Revue** — zeszyt 270. Alois Navrátil — *Mrtvému básnikovi*. Jaroslav Maria — *Vzpomínka*. Ružena Jasenská — *Vidění*. Josef Holy — *Pozdrav českého hochy*. Jarmil Krecar — *V objeti*. Jan Opolsky — *Marná láska*. Jiri Karasek ze Lvovic — *Nový básnik*. Rudolf Krupicka — *Vrsouci*. Charles Cros — *Nocturno*. Théodore Hannon — *Ex voto*. Raymond de la Failhède — *Janosi*. Arnost Prochazka — *Bida frase i charakteru*. Jarmil Krecar — *Tretí hra z českých dejin*. Adolf Rebec — *Poslední*. Ladislav Patocka — *Preklady*. Jan E. Zelinka — *Hudba*. Alap — *Divadlo*. A. P. — *Pamatné kamenky*. Josef Eiselt — *Utiseni*. Josef Marek — *Saut*. Karel Hlaváček — *Frontispice k „Mstvé Kantiléně”*. Milos Klioman — *Fleuron*.

**Cerven** — zeszyt 1. Karel Capek — *Otcové*. Viktor Dyk — *Dve básne z knihy „Okno”*. Josef Fric — *Cestující*. Stanislav K. Neumann — *Nemocníci postel*. Charles-Louis Philippe — *Bubu z Montparnassu*. Stanislav K. Neumann — *Dve knihy skutečne nové*. Civia Bohemicus — *Primocarost*. Obrazy: Josef Capek — *Hlava ženy*. *Stromy*. Vlastislav Hofman — *Placici žena*. Vaclav Spála — *Divka*.

**Cerven** — zeszyt 2. *Zpew z temného kouta*. Otakar Fischer — *Legenda*. Charles Louis Philippe — *Bubu z Montparnassu*. Jan Zrzavy — *Dionysos*. Stanislav K. Neumann — *Dve knihy skutečne nové*. Antonín Veselý — *Detailní otázky slohové*. Civia Bohemicus — *Národní církev*. Obrazy: Josef Capek — *Spanelka z Folies Bergères*. Cernoska z *Parize Posada*. *Krajina*. Vaclav Spála — *Pradlena*.

**Cerven** — zeszyt 3. S. K. Neumann — *Potkan dobrodinec*. Vlastislav Hofman — *Zeme v klamu*. Charles-Louis Philippe — *Bubu z Montparnassu*. Richard Weiner — *Zjasené oči*. Ing. Jindrich Fleischner — *Proletariat a národ*. Obrazy: Jan Zrzavy — *Akrobaté*. Vlastislav Hofman — *Kresba*. Rudolf Kremlicka — *Kresba*. Umeni primitivní — *Orel z indianské nádoby ze severo-západního pobřeží Floridy*. *Keramika*.

**Cerven** — zeszyt 4. Jaroslav Durych — *Zasueceni*. Georges Duhamel — *Vzpomínka na tron nemoc*. S. K. N. — *Kýc pro pány i pro lid*. Charles-Louis Philippe — *Bubu z Montparnassu*. Rudolf Kremlicka — *Z deniku*. Jan Zrzavy — *O sobe*. Civia Bohemicus: *Ceskosocializmu*. Obrazy: Vaclav Spála — *Krajina*. Josef Capek — *Holubi ve strnisti*. *Holubi*. Jan Zrzavy — *Vdova*.

**Cerven** — zeszyt 5. Josef Kodicek — *Malir Václav Spála*. Josef Hora — *Milostná písen*. Jaroslav Durych — *Zasueceni*. Charles-Louis Philippe — *Bubu z Montparnassu*. Civia Bohemicus — *Smysl zapasu*. Obrazy: Vaclav Spála — *Autoportret*. *Kresba*. *U okna*. *Na snopech*. *Divka u okna*. *Devce v krainie*. *Zeme*. *Lezici zena*. *Zeny v koupeli*. *V slunny den*.

**Cerven** — zeszyt 6. Frana Sráneck — *Cesta s Rombonu*. Jan Bartos — *Zazrak*. S. K. Neumann — *Kominy*. Otakar Marvanek — *Zatisti*. Jaroslav Durych — *Zasueceni*. Charles-Louis Philippe — *Bubu z Montparnassu*. S. K. N. — *Cisopasne panmenicko*. Obrazy: Vlastislav Hofman — *Hlava*. Karel Teige — *Belice*. Otakar Marvanek — *Kresba*. Karel Teige — *Lodice*. Josef Capek — *Podoba z biografu*.

**Cerven** — zeszyt 7. Dr. Jan Heidler — *Rok osmactyricaty. 1848 — Ukazky ze sondobého myšlení a citení*. Obrazy: *Titulní kresba del soudobé lithografie*. *Dve soudobé karikatury na sedmasede-satniky*. *Reprodukce oznamení Havlickowych Narodnich Novin*.

**Cerven** — zeszyt 8. Emile Verhaeren — *Na oslavu vetru*. Feuerstein Bedrich — *Stesk*. Jaroslav Durych — *Zasueceni*. Charles-Louis Philippe — *Bubu z Montparnassu*. S. K. N. — *Nezdvorile rozhovory s kritickou*. Civia Bohemicus — *Ocista*. Obrazy: Vlastislav Hofman — *Okno*. *Pomnik*. *Pomnik s urnou*. *Zena*.

**Cerven** — zeszyt 9 i 10. Walt Whitman — *Pohrebni hymna presidenta Lincolna*. Karel Capek — *Pragmatism*. Richard Weiner — *Méne divadla*. Charles-Louis Philippe — *Bubu z Montparnassu*. Miroslav Rutte — *Ve jmenu zivota i radosti i krasy*. S. K. N. — *Nezdvorile hovory s kritickou*. Civia Bohemicus — *Antisemitism a umeni*. Obrazy: Vlastislav Hofman — *Autoportret*. *Pomniky s urnou*. *Muz*. *Jiny autoportret*.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kościanki. — Przedstawiciel redakcji na Austro-Węgry: Jakób Geszwind, Wiedeń. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja” w Poznaniu. Wszelkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja” Poznań — Posen. Odbito w tłoczni „Pracy” w Poznaniu.

## Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: **Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego**

nabyć można za pośrednictwem naszym

REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wilhelmowski 17

## „OSTOJA” Spółka Wydawnicza w Poznaniu

poleca jako nowość

Adolfa Nowaczyńskiego

## Szkice literackie

Cena mk. 9.—

Nabyć można we wszystkich księgarniach.

## „POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI, POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIATOWE,  
GOSPODARCZE, SPRAWOM LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

**Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.**

oraz na wszystkich pocztach w okupacji niemieckiej.  
(Skrytka pocztowa No. 64).

**PRZEDPŁATA** wynosi rocznie 10 mk., półrocznie 5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk.  
w okupacji niemieckiej, a 15 koron rocznie, 7 kor. 50 hal. półrocznie, 4 kor. kwartalnie i kor. 50 hal.  
miesięcznie w okupacji austriackiej.

## MASKI Czasopismo ilustrowane, poświęcone literaturze, sztuce i satyrze

Wychodzi 1. 10. i 20. w miesiącu — — Adres Redakcji i administracji: **KRAKÓW, Wojska 1 19**  
Prenumerata z przesyłką: kwartalnie 20 kor. — półrocznie 38 kor. — rocznie 75kor.

Druk nowej powieści K. Tetmajera p. t. „Walka”, cykl „Listów ze wsi Wł. Orkana. Z dniem 1. lipca druk cyklu nowel tatrzańskich K. Tetmajera, które obejmą nowy VIII. tom „Skalnego Podhala.”

Na Poznań i W. Ka. Poznańskie główne zastępstwo sprzedaży „Masek”  
objęta Księgarnia A. Cybulekiego w Poznaniu.

# S. KAŁAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pan		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoty	Koźmierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Haiki	Koźmierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole
  TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.  					

## POLONIA Księgarnia Nakładowa i Komisowa . . . .

Lausanne, Maison Kursaal, Szwajcaria

przyjmuje wydawnictwa we wszystkich językach na rachunek komisowy oraz dostarcza wszelkich wydawnictw i czasopism zagranicznych w językach polskim i obcych.

Zamówienia wykonywa się starannie i szybko.

## DRUKARNIA „PRACY“

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ  
 PIEKARY 21 W POZNANIU PIEKARY 21

POLECA SIĘ DO WYKONYWANIA  
 WSZELKICH PRAC DRUKARSKICH  
 GUSTOWNIE, SZYBKO I TANIO

TELEFON 3097

TELEFON 3097

## Pro arte et studio miesięcznik warszawskiej młodzieży akademickiej

Prenumerata roczna z przesyłką 30.— mk., półroczna 15.— mk., kwartalna 7.50 mk.

Cena numeru pojedynczego 2.50 mk.

Przedpłaty przyjmują Gebethner i Wolff (skład główny) oraz inne księgarnie.

Adres redakcji: Żłota 8 m. 5.